

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 4 CZERWCA 1927 ROKU

NR 23

TREŚĆ NUMERU: Czy nauka pójdzie w las? — *Dr. Herminja Naglerowa*. Kłątwa milczenia — *M. H. Szpyrkówna*. Felicja Kruszevska (dok.) — *Wanda Borudzka*. Wiersze: „List z Warszawy na wieś”. „Pogoda”. „Perły” — *Aleksander Maliszewski*. Motyw księżycy (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa (J-a Słycz)*. Plantator z Malaty (c. d.) — *J. Conrad*. Społeczne organizacje kobiece w sprawie wychowania fizycznego — *W-na*. Kobieta w świecie i w domu — *W. S.* Z książek — *Z. M.* Z życia muzycznego — *P. L.* Z teatrów — *S. P. O.* Siostry rezerwy — *Well*. Rola sztuki w życiu — *Marja Zawadzka*. Brzydkie owrce (dok.) — *Stan. Schönfeld*. O kuracyjnym i kosmetycznym znaczeniu owoców — *S. S.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”. Sposoby urozmaicania letnich sukienek — *Well*. Kimono szydełkowe, przybrane crêpe de chin'em. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony” — *Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł.* Arkusz wzorów.

CZY NAUKA PÓJDZIE W LAS?

Na marginesie wyborów do Rady miejskiej w Warszawie.

Nie zabierałyśmy głosu w okresie gorączki przedwyborczej, nie chciałyśmy, bowiem, powiększać harmideru, który panował w stolicy, nie chciałyśmy też — w myśl naszych zasad — oświadczyć się za tą, czy tamtą grupę polityczną. Dziś jednak, gdy febra wyborcza już minęła, koniecznem jest zastanowić się nad zjawiskami, towarzyszącymi tej, bądź co bądź, ważnej i poważnej sprawie.

Możemy więc, przedewszystkiem, stwierdzić, że udział kobiet w akcji przedwyborczej był bardzo żywy. Związki i organizacje kobiece okazały niewątpliwe zainteresowanie dla spraw samorządu i, zależnie od swoich przekonań politycznych i potrzeb gospodarczych, wypowiadały się konkretnie za programami i hasłami, głoszonymi przez aż nazbyt liczne ugrupowania.

Niemniej też uczestniczyły kobiety w czynnościach agitacyjnych, wychodząc bodajże na ulicę ze sztandarem wiary politycznej tej partji, której postanowiły służyć swoją pomocą.

Kto obserwował tłumy, wyczekujące cierpliwie przez długie godziny przed lokalami wyborczymi, mógł się łatwo przekonać, że kobiety stanowiły 70% wyborców. Należy ten objaw bezsprzecznie pochwalić. Świadczy on, bowiem, o poczuciu obowiązku obywatelskiego wśród szerokich mas niewieścich. Świadczy również o tem, że kobiety mają sporo zapału dla spraw publicznych.

Możemy też stąd wyciągnąć dwa ważne wnioski:

1) Kobieta przedstawia aktywny czyn-

nik w życiu obywatelskiem, 2) kobieta jest liczbowo siłą potężną.

Rozważywszy te oczywiste fakty, stajemy jednak wobec jeszcze jednej przewiny, popełnionej w stosunku do kobiet. Już w chwilach organizowania się komitetów wyborczych można było stwierdzić, jak śmiesznie mało kobiet wciągnięto do współpracy. Na fotografiach, publikowanych w pismach ku zachęceniu wyborców, komitety prezentowały się wprawdzie godnie, ale można było na nich podziwiać oblicza jedynie — męskie. Zaledwie na niektórych widziałyśmy kobietę — jedynaczkę, siedzącą skromnie na uboczu.

Z tego, ekskluzywnie męskiego ducha wyjść też musiał układ list kandydatów do Rady Miejskiej. List, jak wiadomo, było 25. (Według numeracji było wprawdzie dwadzieścia siedem, ale skreślono listę 10, a dziewiątką nie oznaczono żadnej listy, ze względu na trudność w odróżnieniu tej cyfry w druku i na luźnych kartkach — od szóstki.)

Było więc 25 list. Jeżeli od tej liczby odejmiemy 12 list żydowskich, zostanie 13 list, którymi zajmujemy się ze stanowiska interesów „równouprawnionej” kobiety. Pragniemy tu, bowiem, w zestawieniu liczbom wykazać, ile kobiet było na listach kandydatów i jakie lokaty otrzymały na tych listach kobiety. Może tak, ad oculos wystawiona, a w nieomylność cyfr ujęta, prawda przyniesie nam, kobietom, jakąś korzyść, może nas pouczy, jak mamy występować na przyszłość w podobnych wypadkach, a może też udowodni mężczyznom, że ich jednostronność jest

niesprawiedliwa, przez co w sprawach publicznych przynieść może tylko niepowetowane szkody.

Przypatrzmy się więc dobrze tym cyferkom! (Umyślnie nie wykazuję, jakiego zabarwienia są poszczególne listy, by uniknąć posądzenia, że kieruję mną jakiegokolwiek względów partyjne. Wszystko mi jedno, jakiej marki są owe listy, chodzi mi jedynie i wyłącznie o prawa kobiet.)

Lista Nr 2: Ilość kandydatów 169. Liczba kobiet w tej sumie wynosi 27. Lokata kobiet na liście: 10, 16, 20, 23, 26, 42, 43, 84, 86, 87, 92, 99, 100, 113, 116, 117, 118, 119, 120, 125, 135. Lista Nr 2 mogła w najlepszym razie otrzymać 40 mandatów, czyli że wyszłoby z niej — 5 kobiet.

Lista Nr 3: Ilość kandydatów 123, liczba kobiet 5. Lokata kobiet: 30, 84, 85, 101, 105. Lista 3 mogła otrzymać 10 mandatów, czyli, że żadna kobieta z tej listy nie miała szans.

Lista Nr 6: Ilość kandydatów 53, kandydatek niema.

Lista Nr 8: Ilość kandydatów 21. Kobiet niema.

Lista Nr 11: Ilość kandydatów 87. Liczba kobiet 1, lokata tej kandydatki — 55. Oczywiście, kandydatura iluzoryczna.

Lista Nr 12: Ilość kandydatów 142. Ilość kobiet 6. Lokata kandydatek: 3, 15, 24, 32, 117, 140. Lista 12 mogła liczyć co najwyżej na 50 krzeseł, więc tylko 4 kobiety były uwzględnione w kalkulacji wyborczej.

Lista Nr 14: Ilość kandydatów 18, liczba kobiet 2, ich lokata: 15, 18.

Lista Nr 22: Ilość kandydatów 3. Kobiet niema.

Lista Nr 24: Ilość kandydatów 6. Liczba kobiet 2, lokata 2, 4.

Lista Nr 25: Ilość kandydatów 101. Liczba kobiet 7. Lokata: 10, 26, 39, 44, 84, 92, 99. Lista mogła liczyć na 30 krzeseł, a więc tylko dwie kobiety miały szanse.

Lista Nr 26: Ilość kandydatów 10. Kobiet niema.

Lista Nr 27: Ilość kandydatów 30. Kobieta 1, jej lokata 22.

Przygnębiająca wymowność tych cyfr wykazuje, że na sumę 763 kandydatów wypada minimalna liczba 51 kobiet. Bardzo ciekawie przedstawia się również lokata kandydatek, a więc prawdopodobność ich szans. Z naszych obliczeń wynika, że w najlepszym razie mogło wejść do Rady Miejskiej 11 kobiet. Skończyło się, oczywiście, tylko na 11 radnych płci żeńskiej z list polskich.

Ta krzywdząca dysproporcja jest jaskrawym dowodem tego, że równouprawnienie kobiet należy jeszcze do pojęć—oderwanych. Nie trzeba—sądzę—dowodzić, jakie usługi oddałaby mogła kobieta w samorządzie miejskim. Tu przedewszystkiem potrafiłaby ujawnić wartość swoich doświadczeń i przygotowania fachowego, tu jest ogromne pole do rozwinięcia działalności społecznej, w której przecież już dziś przoduje kobieta. Niestety, jednak, mężczyzna zawsze jeszcze utrzymuje, że on sam tylko jest powołany do rozstrzygania wszystkich spraw, [nawet tych, w których się niebardzo orientuje.

Należy tu ponadto dodać, że jest mnóstwo takich dziedzin w kompleksie gospodarki i poczyniń samorządów, które specjalnie dotyczą kobiet, a które zaniedbuje mężczyzna, bo go, poprostu, nic a nic nie obchodzi.

Żle się więc stało, że nasze działaczki społeczne, a choćby i polityczne, nie potrafiły już w okresie przedwyborczym wystąpić dość energicznie i stanowczo w obronie należnych kobiecie praw. Trzeba, bowiem, było wyeliminować raczej kwestje natury politycznej i nie roznamiętniać się tak bardzo hasłami, które pokrywały mniej, lub więcej zrećzenie, osobiste współzawodnictwo ambitnych mężczyzn.

Kobiety powinny były dla dobra powszechnej sprawy kobiecej wystąpić z własną listą, skoro wśród targów, toczących się w komitetach wyborczych, nie dało się uzyskać odpowiedniej liczby kandydatur kobiecych i odpowiednich lokat. Nie wątpię, że poza kwestjami politycznymi, potrafiłyby kobiety wystąpić z własnym programem sanacji gospodarki miejskiej, i że wogóle w zakresie samorządu mają niejedno do zrobienia.

Wybory do Rady Miejskiej dawały więc kobietom sposobność do okazania, że, w przeciwieństwie do mężczyzn, zdolne są skupić się w bezpartyjnej zgodzie, czem okazałyby swoją obywatelską dbałość o zagadnienia większej wagi, niż kolor politycznego sztandaru.

Z przykrością stwierdzić musimy, że w ważnym akcie wyborów kobiety najmniej myślały o swojej sprawie, i stąd też tłumny udział kobiet w wyborach został zmarnowany na rzecz ambicji partyjnych, w gruncie rzeczy dla nas, kobiet, obojętnych, a co więcej niejednokrotnie nam wrogich.

Wybory do Rady Miejskiej są jednak znakomitą nauką na przyszłość, i wierzyć należy, że nauka ta nie pójdzie w las!

Dr. Herminja Naglerowa.



M. H. SZPYRKÓWNA

KLĄTWA MILCZENIA



Byłam w tym tygodniu na najdziwniejszych zawodach, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć—a sędzę, że i nietylko mnie. Na zawodach głuchoniemych i ociemniałych. Coś w tym zjawisku uderzało szczególną, ostrą sprzecznością,—zagraniczne słowo, które lepiej to wrażenie oddaje, jest: inkongruencja. Nie do pomyslenia jest współzawodnictwo, np., człowieka związanego z takim, który rękami włada swobodnie. Uważalibyśmy je za niesprawiedliwe i buntujące. A oto rozgrywał się na owym przedziwnym turnieju ludzkiego upośledzenia bieg sztafetowy pomiędzy szkołą powszechną, czy też im. Konopnickiej—bo te właśnie szkoły stały się do zawodów, i — nie do wiary — zwyciężył... ociemniały, z Instytutu Ociemniałych i Głuchoniemych.

Jak to potrafią? Jakim wyostrzeniem pozostałych zmysłów nadrabiają zanik tych najważniejszych—wzroku i słuchu? Jakie przeżycia psychiczne dzieją się w duszach, oddzielonych od świata normalnego nieprzejrzyście, szklaną ścianą? Nie wiemy! Przedostaje się do nas tylko ułamek, mała cząsteczka wielkich wysiłków, wielkich tragedii, wielkich, ach! możnaby rzec: największych na świecie walk zapaśniczych, pomiędzy złem przekleństwem ciała, a duszą—tą katechizmową, „rozumną“ duszą ludzką, która się pragnie wyzwolić.

A i tak, zresztą, przedostaje się nie do nas, tylko do najbliższego otoczenia—nauczycieli, wychowawców, kierowników szkoły. Jest to świat tak odrębny, że możnaby pisać tomy o swoistych metodach nauczania i swoistej psychice nauczanych. W rozgardjaszu i podnieceniu zawodów niema na to czasu. Można zamienić tylko parę najpobieżniejszych zdań. Czy dzieci bardzo odczuwają swoje upośledzenie? Jak dalece można się porozumieć z nimi, i jak dalece mogą się porozumieć pomiędzy sobą? Czy zawody są pierwszą próbą szkoły, czy też miały już precedensy?

— Występujemy publicznie pierwszy raz, ale mamy zamiar wprowadzić zawody na przyszłość w udoskonalonym nawet stopniu. Dla dzieci jest to znakomite odprężenie, a przytem — jakgdyby równoważnik ich upośledzenia. Widzą, że mogą podołać trudnościom narówni z innymi, normalnymi dziećmi, a można sobie wyobrazić, jaka to dla nich duma i uciecha! Jest to nietylko ćwiczenie fizyczne, ale pozatem rodzaj podniesienia moralnego, zaufania we własne siły, jakkolwiek je uszczupliła i skrzywdziła natura. Czy możemy się z nimi porozumieć?... Naturalnie! Mamy alfabet mimiczny, którego się uczą, a nadto, jak świat

światem, istniała pewna wymowa ruchów, wyrażająca najprymitywniejsze odruchy ludzkie: strach, głód, miłość, antypatja—zawsze temi samymi, zrozumiałymi pod równikiem i pod biegunem zarówno, gestami! Poza tem, szkoła uczy je przecież mówić dźwiękowo.

— Ale czy w ich rozmowach jest pewna ciągłość? Czy też są to tylko pojedyncze, najkonieczniejsze zdania?

— Ależ nie! Konwersacja może być najbardziej ożywiona, jak na fiksie i w większym gronie! Zresztą, przyglądając się uważnie, można zaobserwować cały sposób bycia naszych wychowanków najlepiej, bo swobodnie. Pogoda uświetniła nasze zawody! Dobra wróżba na pomyślny początek.

Pogoda, rzeczywiście, jest prześliczna, ogród zaś Instytutu — chyba jeden z najładniejszych w Warszawie. Jest to Instytut Głuchoniemych i Ociemniałych—na Placu Trzech Krzyży. Za gmachem, wdół, wzdłuż Książęcej ciągną się malownicze tereny, których górną płaszczyznę zużytkowano pod boisko sportowe, doskonale położone.

Na boisku—tłum mundurków, a głównie trykotów „chłopczyńskich“ i „dziewczyńskich“. Różnią się zresztą od siebie nadzwyczaj mało. Szalenieśmy postąpili w emancypacji! Przed dziesięcioma latami nikomu by na myśl nie przyszła możliwość obcowania w takich strojach „przyzwoitych“ dzieci z przyzwoitych domów! Dziś są tam najprzyzwoitsze, i zdaje się, wychodzi to im na dobre. O ile pamiętam kokieterje pensjonarsko-sztubackie przedwojenne, to trzeba powiedzieć, że wyzdrowiały w sposób godny powinszowania. Kolanka, szyjki, dekolty i fryzury przechodzą bez wrażenia. Dziewczeta, z podrapanymi o przeszkody nóżkami, o potarganych główkach i bez śladu zalotności w obcowaniu, są najbardziej pożądaną odmianą „garsonki“, jaką możemy sobie wyobrazić. Jest kolega, którego ambicja polega na najlepszym skoku wdał, czy na najdalszym rzucie kulą, i który ani do specjalnej budowy, ani do specjalnych przywilejów się nie poczuwa. Po za boiskiem—może. Ale zapewne w nieporównanie mniejszym stopniu, niż przy dawnym rozgraniczeniu owieczek od kozłów. Tłum szkolny nieporównanie bardziej wygląda dziś po... angielsku, jeżeli tem imieniem swobodę i sportowość określić można.

Plac pokratkowany, posiatkowany, podzielony na tereny i obsadzony przez odpowiednie grupy zawodników, rozgrywających swoje mecze. A dokoła — widzowie. Ławki, krzesła, stoły i poprostu—piasek. Po przychodziły matki, ojcowie, krewni, sympatycy, sztab

nauczycielski i młodzież szkół zawodniczących. Narazie głuchoniemych od normalnych dzieci odróżnić się nie da, o ile nie rozmawiają między sobą niesamowitemi migami swojej milczącej mowy. Po przyjrzeniu się — tak.

Twarze szczególnie zastygłe, jakby skupione od wewnątrz. U niewidomych — wyciągnięte, niejako w czujnym nadśluchiowaniu każdym muskułem, jak u muzyka, sprawdzającego ton. Serce się ściska, patrząc na niektóre dziecinne twarzyczki z umarłemi, jak śpiąca woda, oczami. Oczy te są nieraz prześliczne, ale szczególnie wyzbyte życia — jakgdyby zrobione z jubilerskiego agatu, czy lapislazuli, ale bez tej iskry życia wewnątrz, jaką zapala tylko duch. Twarze dorosłych nerwowe, wyostrome. Profile szczególnie uderzają pewnem zasłuchaniem. Co oni słyszą, ci nasi nieznani bracia? Bardziej nieznani, niż cudzoziemcy, chociaż żyjący tak blisko nas? Nie wiem, czemu, przypomniało mi się państwo ryb. W naszym gwarным, świergotliwym, pełnym dźwięków świecie tak dziwnie odcina się wszelka gromada, która żyje w milczeniu.

A czy nie odbywają się i tam krwawe dramaty, które niemem milczeniem wołają o pomstę do Boga?

Zawody naogół udają się świetnie. Czasem zwyciężają wychowankowie Instytutu, czasem — goście. Ale różnic rażących, ba: nawet wogóle różnic — niema. Gimnastyka niewidomych przechodzi zdumiewająco wprost pod względem porządku i miary. W biegu zwycięża ociemniały. W skokach w dal — rekord u chłopców bierze głuchoniemy — pięć metrów. O ile wiem, ów rekord światowy wynosi tylko siedm, a ten jest przecież małym chłopcem, z początkami treningu.

Dziewczynki skaczą do czterech metrów — zwycięża szkoła Konopnickiej, jako pierwsze miejsce, ale tylko o 1 centymetr — dwa drugie zdobywa Instytut. Piłka przechodzi kolejno. Nie, różnic niema! I co to za szczęście, że nareszcie ci biedacy mają jakieś pole zabawy i współobcowania z prawdziwemi, normalnemi dziećmi, na którym mogą się nie czuć wykończonymi!

I z tego stanowiska zasługa szkoły jest wielka. Ale środki — małe. Dlatego zawody zostały sfotografowane przez nieporównanego chwytacza „momentów” sportowych, p. Ryszarda Waltera, w znakomitych odbitkach na pocztówkach, i Zarząd zamierza puścić je na sprzedaż, aby w ten sposób zasilić kasę. Chcia-

łabym, żeby wszyscy kupili sobie te pocztówki. Aby dużo i mądrze opowiedzieli o tych małych, biednych dzieciach swoim ładnym, zdrowym, szczęśliwym dzieciom, którym Bóg dał wszystkim roześmiane, błękitne, lub ciemne oczy, głosy jak dzwoneczki, i uszka, które słyszą głos matki. Chciałabym, aby wszystkie matki, które, czytając to, odczują swe szczęście: jak w starożytnej Grecji, zapłaciły daninę zazdrosnym bogom przez swój niewielki, bodaj, wkład, nabywając z Instytutu (plac Aleksandra, Instytut dla Głuchoniemych i Ociemniałych) — taki cykl sportowy, najdziwniejszy cykl, jaki znam. W szaleństwie zawodów, jakie się dziś odbywają, takich jeszcze nie było. To — zawody o pierwszeństwo duszy i ciała. Co zwycięży? Ciało, dążące w dół drabiny postępu, w ciemność, z której wyniosły je ciężkim trudem wieki? Czy — duch?

Duch, który na miejsce zmarłych oczu wyostroma jakiś wewnętrzny, nieznany nam, widzący, zmysł w opuszczonem przez wzrok ciebie, tak, że każda jego cząstka staje się niejako widzącą ślepymi mackami dotyku — jak w opuszczonej przez wodza gromadzie, każdy staje się na czas bezkrólewia broniącym całości gromady wodzem, jeżeli chce żyć.

Zaznaczę tu tylko w najpobieżniejszej wzmiance, jak niewyczerpane zasoby łagodności, w połączeniu z brakiem sentymentalizmu, któryby tylko szkodził: muszą mieć wychowawcy takiego zakładu — i jaka to jest wspaniała placówka dla kobiety! Odeszliśmy dziś, w pogoni zdobywczej za stanowiskami męskimi i lukratywniejszemi zresztą, — od pracy, która dawniej była wyłącznie kobiecą: od pracy wśród wszelkiej niedoli. Nie można tego, broń Boże, powiedzieć ryczałem! Zrzeszenia kobiece są i będą ostoją wszelkiego ruchu humanitarnego. Ale — zmniejszyła się ilość kobiet tam, o ile zwiększyła się gdzie indziej.

Czyż można być wsteczniczką? Czyż można tego żałować? Niel.. A jednak — tak bardzo, tak głęboko jestem pewna, że wiele rozterki, nerwów, nie-szczęść, oschłości i pustki w życiu wielu, wielu kobiet — dałoby się uleczyć nad wyraz prostym środkiem: zbliżeniem się do tych, którzy są tysiącrotnie nie-szczęśliwsi, — i świadomością, że tam byłyby potrzebne, pożądane i naprawdę błogosławione.

Kto, prócz kobiety, wie lepiej, jak wiele razy dramat kobiecy polega jedynie na tem, że — nikomu potrzebną nie jest!



WANDA BORUDZKA

7

FELICJA KRUSZEWSKA

„PRZEDWIOŚNIE“. „STĄD — DOTĄD“

(dokończenie)

Obok pełnego rozwinięcia elementu erotycznego, spotykamy w tym cyklu równie pełny przejaw macierzyńskiego instynktu. Nie stoimy wobec fazy jego narodzin. Przebłyśki tęsknoty za dzieckiem mieliśmy już i w „Piosenkach Biedactwa“. Przebija on też i w „Owocach“. W wierszu „Jabłka“ wystąpi on jednak w formie czystej, bez żadnych domieszek:

Co tu jabłek, co tu jabłek w ogrodzie Wszystkie pełne
[kosze i koszyczki.
Gdybym miała małego syneczka, miałby takie różowe
[policzki.
Kolorowe prześliczne kule malowane, kraszone, złożone.
Gdybym miała małego syneczka, miałby takie usta
[czerwone.
.....

Mamy tu metodę już stosowaną w „Malinach“: równoległość zjawisk — zbierania jabłek i dziecinnej z tego zbierania uciechy. Tylko, że tutaj te obydwa procesy są raczej tłem tylko. Przepajającą cały wiersz treścią, będzie właśnie tęsknota za dzieckiem. Jest ona bardzo pogodna. Uczucie to jest tak samo naturalne i zdrowe, jak i nagle wykwitły na słońcu erotyzm. W wierszu tym przejawia się ono, jako konieczność otrzymania estetycznej całości, dopełnienia obrazu obciążonych owocem jabłoni uciechą dziecka i zaspokojenie głodu serca, opłyniętego tkliwością.

* * *

Nie jest to ostatnie zatracenie o problemat macierzyństwa w tej książce. Temat ten raz jeszcze będzie poruszony w grupie „A Medley“, ale w sposób zupełnie odmienny.

Zamiast lirycznego wyśpiwu przeżycia, będziemy tu mieli wzniesienie się na wysokość tego obiektywnego stanowiska, z którego właśnie może być ogarnięty pełny kształt zagadnienia. Schwycony jest sam rdzeń ideowy zjawiska. Forma tego ujęcia jest bardzo ciekawa. Mamy tu jakby proces zmagania się dwóch, odbiegających od siebie, elementów psychicznych: macierzyńskiego i ogólnoludzkiego. Silny, rwący pęd do pełnego wyżycia się i konieczność ustępstwa na rzecz macierzyńskiego instynktu:

A jakże to te oczy szalone
w dal wyciążyć i utopić w przestrzeni?
Trzeba patrzeć, czy się co nie odmieni,
trzeba patrzeć pilnie w każdą stronę.

Spoczną oczy, całe słodkie i wielkie,
na główeczce kędzierzawej, małejkiej.
.....

A jakże to te skrzydła orłowe
rozkołysać i na niebo zarzucić?
Trzeba je opuścić, zwinąć, skrócić,
zawsze drżące i do lotu gotowe.
Z skrzydeł będzie miękka kołysieczka
dla małego, małejkiego syneczka.
(„Matka“).

W toczącej się walce odrazu wiemy, na którą stronę padnie wygrana. Poryw do czynu, w każdej dalszej strofice coraz to silniej napięty, musi ciągle ustępować sile nierównie większej. Miękkie opadania dźwiękowe w tych wszystkich monotonnych replikach niewzruszonym spokojem już mówią o osiągniętej przewadze. Ostre chwytły głośnego wołania ustępują ściszonemu ukorzeniom się przed prawem instynktu. Taktom bojowego marszu odpowiada tkliwy rytm kołysanki.

Z punktu widzenia techniki poetyckiej, zjawisko to jest bardzo ciekawe, gdyż między wezwaniem do czynu, a korną repliką, nie mamy żadnego prawie rytmicznego kontrastu. Samo widać zmiękczenie, zdrobnienie słów wywołuje ten efekt.

To też wynik ostrego starcia życiowych impulsów i konieczność, natychmiastowego ustępstwa na rzecz instynktu, jest jasny. Poddanie jest dobrowolne. Stąd właśnie płynie radość i słodycz przegranej.

Triumfującą w tym wierszu kołysankową melodję odnajdziemy znów — w nieco innej formie, co prawda — w „Pociągu do Krakowa“. Ujęty jest on w rytmiczne karby biegu pociągu. Stukot kół będzie w nim metronomem. W ramach jednostajnego turkotu łatwo będzie wyodrębnić element roztoczenia macierzyńskiej opieki nad ukochanym człowiekiem, oddanym niepewnościom podróży.

.....
A poduszka pod najdroższą ciemną głową,
niech mięciutko, niech leciutko go kołysze,
gdy sen powiek dotknie ręką kolorową,
niech na rżęsach mu zawiesi słodką ciszę.
.....

Inne wiersze z tej grupy będą już od poprzednich niezależnione kompletnie. Otwierają się nowe okienka na świat: żyje się, jak w latarni.

Odrębnością, nowością tematu — a jeszcze więcej nawet oryginalnością formy — wysuwa się na najpierwszy plan „Hotelarka“. Ktoś w recenzji nazwał ten wiersz dosyć trafnie rymowaną nowelą. W rzeczy samej, w streszczeniu wiersz ten sprawiłby niewątpliwie wrażenie skrótu prozy:

Ach, gdybym była młodą żydówką,
o włosach granatowych prawie,
z wysoką piersią, małą, suchą główką,
i wracała do domu, ukończywszy gim-
[nazjum w wielkim mieście,
jęknęłabym, krzyknęłabym w duszy:
[„Dla mnie nic tu niemal“
Lepiej mnie na kirkut wywieźć:
Co z was było, już we mnie umarło.

Tragedja „Hotelarki“ jest przedewszystkiem tra-
gedją nadmiaru. Życiowa bujność nie chce się dać
zadławić szarzyźnie i płaskości małego miasteczka.

Wiersz cały jest jednym buntem, jednym krzy-
kiem wzgardy i nienawiści:

Plułabym swoją tęsknotą
na wiosnę w różowych obłokach

Ach, gryzłabym palce
i słuchałabym, jak grają gramofony
dygoczące, świszczące walce.

Obca, obojętna przyroda podjudza tylko do tej
walki na śmierć, życiu wydanej:

Och, ty niebo, niepotrzebnie błękitnel
Och, ty pole, nienawistne pole!
Och, wy drzewa, drzewa takie obce!...

Każdy z najdrobniejszych faktów obrzydłej, pł-
skiej egzystencji, rozjątrza tylko kontrastem z wyma-
rzoną wizją wolnego, szerokiego życia — na świecie.

Ach, krążyłyby, biły po głowie
cyfry drobne, koślawe, pokraczne.
(A gdzieś w głębi jakieś skargi rozpaczne,
długie, długie, jak śmierć, pocałunki,
i te łzy — palące, suche łzy).

A potem, gdyby wreszcie przyjechał on,
i zatrzymał się w naszym hotelu
nieznany komiwojażer z wielkiego miasta.
Sama zaniósłabym do jego numeru
zniszczone walizki skórzane.
Odcyfrowałabym na skórce neseseru
cudowne słowo „Wien“,
czarodziejskie słowo „Berlin“,
dzwoniące tak zagranicznie,
pachnące, jak powiew świeży.

A w nocy...
Wymknęłabym się cicho z pod pierzyny
do chłodnej, hotelowej sieni.
Dygocząca, uśmiechnięta, przepiękna,
dopadła do jego drzwi.

I—choćby miał szorstkie ręce i papierowy
[kołnierzyk —
byłabym jego.

Komentarze są prawie zbyt liczne. Wiersz cały
mówi, woła raczej za siebie. Niebawym realizm w od-
twarzaniu szczegółów życia w małym miasteczku
pozwala spodziewać się bardzo dużych możliwości
w dziedzinie prozy. Zastanawiający też jest finał. Bujny

poryw do życia w świadomym, dobrowolnym kompro-
misie uchwycenia się byle czego — zwycięża.

Oprócz tych, detaliczniej rozpatrzonych, mamy
jeszcze cały szereg innych zdobytych placówek. Moc-
ny, spiżowy, w geometryczną regularność formy, niby
w zbroję, zakuty „Łagowski“. Mistyczna tęsknota do
odejścia w bezsłoneczne krainy w wierszu „Agartha“.
Może dać nam o nim pojęcie przytoczenie refrenu,
który się kilka razy powtarza:

Agartha — cudny kraj podziemny
za lasem, za górą, za rzeką.
Agartha jedyny punkt ciemny,
po błękitnym słowie: daleko.

Dalej jeszcze mamy dramatyczne, zwięzłe ujęcie
ulicznego wypadku w „Motorniczym“, i opraciony w ten
szereg prób poetyckich najrozmaitszego rodzaju „Cud“,
w którym rzuci się nam odrazu w oczy związek krwi
z dwoma wiosennymi wierszami w „Przedwiośni“.

W innym znowu wierszu: „Kolorowe i szare“
w walce z wrodzonym każdej duszy „wędrowną“,
zamiłowaniem do egzotycznych krajów, zwycięża przy-
wiązanie do kraju własnego. Wyłania się z tego po-
jęcia ogrom uroku rodzimej przyrody.

Na końcu mamy wiersz „Starość“.

Temat nas zdziwi. Ujęcie — jeszcze bardziej.
Mamy tu do czynienia z osobliwszą, intuicyjną zdol-
nością, pozwalającą odczuć i oddać zjawisko, tak
rdzennie obce pojęciu młodości:

Przeszła pora wiosennych spacerów
i skrzydlatych przez kałuże skoków.
By przejść dróżki strzyżonych szpalerów.
Przyjacielu — dużo trzeba kroków.

Już nie będzie nocy nieprzespanych,
znikły skrypty, mądrych dzieł tomidła,
zapomniony wszystkich słów pijanych.
Przyjacielu! śliczna to rzecz — skrzydła.

Ach! opuśćmy na to wszystko wieki
jest nam oto spokojnie i nudno,
jest cichutko, jest jeszcze daleko.
Starość, starość, przyjacielu — trudno!

Przy uważnem czytaniu zrozumiemy, jaki to po-
most został przerzucony na drugą stronę życia, jakim
sposobem powstała możliwość oddania szarych i liljo-
wych tonów zmierzchu istnienia. Spotykaliśmy się już
z tem zjawiskiem: będzie to, rzecz jasna, zmęczenie.
Ten przykład częstych, cogodzinnych umierań może
nas dziwić, jak przedwczesna siwizna, w tak młodej
poezji. Jak widzimy, jednak w tym wypadku i zmę-
czenie także potrafiło otworzyć szereg nowych okien
na świat. Wolelibyśmy jednak, żeby obudzenia twór-
cze z innych źródeł brały początek.

Będzie tak niewątpliwie, jeśli życiu podoba się
zmienić metodę zarzucania kamieniami kwiecistych
skądinąd ścieżek.

ALEKSANDER MALISZEWSKI

LIST Z WARSZAWY NA WIEŚ...

Jeśli możesz, to przywieź — to zamień, och, zamień
Zakurzony nasz błękit na niebo z gwiazdami —
Będzie co noc błyszczało, śpiewało nad nami,
Niebo dotąd tak szare i ciężkie, jak kamień...

Wiem: — Tam u was są wszystkie noce rozmodlone —
Wiem: — i ranki — różowe, wiecznie uśmiechnięte
Przed drewnianą kapliczką klękają, jak święte,
Malowanym Chrystusom oddają pokłony.

W żar południa, gdy trzepot rąk przy pracy ścicha —
Cisza gra wam na skrzypcach przedziwne piosenki,
I kwiaty, jak gołębie, przychodzą do ręki,
I słońce spływa z nieba, jakgdyby z kielicha...

A tu w mieście cień każdy czai się i skrada,
Tu w mieście szylidy — kwiaty łamią radość naszą,
Każdy wiersz jest, jak zamek, w którym słowa straszą,
I dom każdy posępny, straszny, jak ballada...

Więc gdy możesz, to przywieź — to zamień, och, zamień
Zakurzony nasz błękit na niebo z gwiazdami —
Będzie co noc błyszczało, śpiewało nad nami,
Niebo dotąd tak szare i ciężkie, jak kamień.

POGODA

Z radości szczerzy, prości wiejską drogą idziemy
Uśmiechnięci, jak święci, dobrzy, cisi i niemi.

I oczami zrywamy śpiące w rowach powoje —
Dziś drzewa w liściach skryły szeptu Twoje i moje...

Więc wzrokiem, niby cyrklem, kreślisz wielkie półkole: —
Patrz — dziwne! — Jakże dziwne: — tu topole, tam pole...

Chrystus idzie ścieżyną, kłosa kornie się chylą,
Kwiaty usta podają kolorowym motylom...

Wiesz? — nie wierzysz? — naprawdę: — od samego już świtu,
Jak śnieg z nieba spadają małe skrawki błękitu...

Już wiemy — teraz wiemy: — dzień jest kwiatem i kwitnie,
Więc usiądźmy, słuchajmy: — cicho, dobrze, błękitnie.

PERŁY

Rozsypały się gwiazdy po nieba granacie,
Jak małeńkie perełki w szafie jubilera.
Księżyc — stary przekupień w średniowiecznej szacie —
Targuje i zachwala, przelicza, wybiera...

A rankiem, jak złoczyńca, ściąga z lady sukno,
By słońcu nie pokazać swych skarbów i kroci —
I gdy pierwsze promienie dżentelmeńsko stukną,
Szary błękit się tylko czerwieni i złoci...



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

5

MOTYW KSIĘŻYCA

Nowela

W liljowej pyjamie leżał Hipolit na łóżku, depcąc pantoflami czerwony atlas kołdry. Półkrąg światła rozszerzał się pod abażurem lampy, rysując się na poduszce i przecinając głowę Hipolita. Jedna część twarzy była więc jakby szerniała i zwiędła.

Andrzej składnemi ruchami nalewał wodę do szklanki i rozwijał proszek bromu. Odpowiadał na pytania swoim bezdźwięcznym szeptem. Zdania układał zwięzłe, każdym jakby kończąc bezpotrzebny dialog. Ale Hipolit prowokował rozmowę i, wyczerpawszy wszystkie pomysły, zagadnął wreszcie o książki. Zapamiętał owo „oczytanie“, o którym mówiła niemal z dumą Marja. Z najgłębszą niechęcią zapytał Andrzeja, czy lubi czytać. A gdy zaszeleściło obojętne: „owszem“, oświadczył z nieklamana satysfakcją:

— Niestety, mam tylko książki francuskie, niemieckie i angielskie.

— Czytam po francusku.

— Taak?

— Nauczyłem się we dworze, w Adamówce.

— Taak?

— Uczyłem się tam razem z Janem, z paniczem.

Hipolit wcisnął się głębiej w poduszkę. A lokaj, teraz już nie pytany, opowiadał o swojej przyjaźni z Janem. Każde słowo cieszyło się radością wspomnień. Nabrzmiwało ważnością.

— Dlaczego zostałeś lokajem, skoroś tak wykształcony—ironizował wyraźnie Hipolit.

— Właściwie nic nie umiem. Tak z wszystkiego trochę, ale to zamało, aby być czemś.

— W mieście mógłbyś się poduczyć i dostać się do jakiegoś biura.

— Nie lubię miasta — powiedział kategorycznie.

Rozmowa ciężła już Hipolitowi. Szczękę męczył skurcz ziewania.

— Teraz idź już. Jutro obudzisz mnie o ósmej. Zobaczymy, co tam z tą łódką.

Andrzej przewiesił przez ramię ubranie Hipolita, ujął delikatnie w palce rury żółtych butów. Lecząc na progu, odwrócił się i powiedział głośnie, niż zwykle:

— Mam prośbę. Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak to było ze śmiercią Jana? Mówiono, że pan był wtedy z nim.

Hipolit uniósł się na łóżku. Machinalnie sięgnął po proszek bromu. Ale natychmiast odłożył sztywny paperek, bo drżał mu w ręce z nadto widocznie. Nie patrząc w stronę Andrzeja, fuknął opryskliwie:

— Nie dziś. Już późno!

Poczem dodał nieco uprzejmiej:

— Innym razem opowiem ci o tym smutnym przypadku.

Gdy Andrzej wyszedł, Hipolit zesunął się z łóżka i podszedł do półki z książkami. Poszperał chwilę wśród tych kilkudziesięciu „najmilszych“, które miały prawo i obowiązek spędzać z nim bezsenne noce i stały tu zawsze gotowe, zawsze niezawodne. „Hymny księżycowe“ Vogelsburga, mała ósemka, oprawiona w szafirowy zamsz, (S. Fisher—Verlag Berlin.—Auf Büttenpapier) przywarła aksamitnie do dłoni Hipolita. Książeczka rozpękła się, podając mu usługę uwielbianą stronicę. Czcionki gotyckie tworzyły tam dziwnie szarpaną kolumnę, a tytuł wiersza był, jak kapitel, ułożony w wianek fantastycznych kwiatuśków.

Hipolit czytał. Usta zwarły się w wąską linję, a tylko oddech falował wraz z rytmem hymnu.

Tajemnicol jedyna własności człowieka
Po trzykroć zamknięta woła potężną Hermesa,
Oddana wieczyście niemej straży Milczenia,
Za czarną bramą ślepoty ukryta!
Zielone skrzydła Seleny, rozpięte szeroko,
Bronią dostępu wrzaskliwym falangom Logosu,
A długie, zimne jej palce ściskają serce krzyczące...

Hipolit odłożył książkę. Oddechem raz jeszcze wyskandował:

— Serce krzyczące...

V

Poddany swojemu własnemu stróżowaniu, umiał Hipolit być czujnym dniem i nocą. A czyniąc to od owej straszliwej chwili w zatoce bretańskiej przez dwa lata, nabrał wprawy. Bacność jego była niemal żołnierska. Ale była też często szpiegowska, chyłkiem podpatrująca.

I teraz właśnie poczęły go niepokoić przypomnienia, natrętne słowa. Naprzykrzały się wspomnienia, podpływając zbyt blisko i wyraźnie. Każda sytuacja, bodajże pospolity bieg dnia, mieściły w sobie niebezpieczeństwo porównań, albo ujawniały się ułamkiem plastycznej reminiscencji.

Hipolit szedł za dnia drogą przez majdan. Układał właśnie stertę żyta. Dom zboża rósł, podsuwał się wzwyż, już zwiężał się pod kształt obwisłego dachu. Ściany sterty, porowate i kłujące, miały kolor szaro rudy. Podrzućane na widłach snopy, fruwały rozstrzępione i złociste, sypiały migotliwe plewki. Jakiś zeschnięty kwiatek błękitniał, różowił się wśród kłosów. Słońce parzyło, ujęte w czarno burą ramę chmury. Odcięło się od niej rozpalonym, jak drucik cien-

kim, brzeżkiem i patrzyło ostro na ziemię, wyciągając sztywne rzęsy promieni.

W gwar głosów wmieszał się bulgot grzmotu. Głowy uniosły się skośno, i ludzie, jak ptaki, jednym okiem badali niebo.

Pośpiech ramion. Nerwowy pokrzyk. Już ktoś przytaszczył impregnowane, brązowe płachty i rzucał je obok sterty. Stęknęły i legły, jak trup wielkiego konia, wysterczający sztywnymi gnatami ku górze. Przez dach stodoły przerzucił się wysoką falą wiatr wilgotny już, choć pomieszany z miałkim kurzem.

Hipolit, trzymając w ustach wygasłą fajeczkę, patrzył na tę zaciekłość pracy. Jego muskularne ramiona wyprężały się własną ochotą, męcząc się próżniactwem. Ale Hipolit mrużył tylko z całym bezwstydem oczy i łowił szparkami źrenic obraz. Szczegół po szczególe. A potem całość. Geometryczne patrzenie ujmowało pejzaż i ludzi w sztywne, wypukłe płaszczyzny. Ruch ścinał się w momenty bezruchu. Bar-

wy rozsypywały się w plamy. Grube kresy ciemnych i jasnych zygzaków znały się zuchwale, wrzynając się w głąb płaszczyzn. Chmury obsuwały się, jak granatowe ławy i walce, a słońce było, jak duża, ciężka pomarańcza.

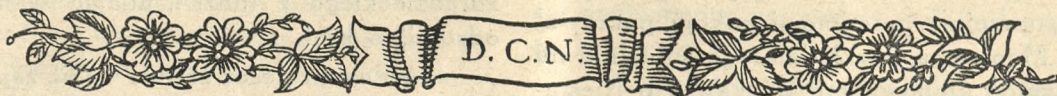
Przybiegł także Andrzej, aby pomagać w tej przededeszczowej gonitwie pracy. W koszuli w niebieskie paski, w granatowych spodniach, ściągniętych rzemieniem, stał na szczycie sterty pod samą spieką słońca. Nawoływał, krzychał. Hipolit pierwszy raz usłyszał jego pełny głos, wysoki, tenorowy, nadmiernie jaskrawy. Białe zęby dały mu twarz, jak błyskawica. A gdy się odwrócił, widział Hipolit, jak wśród skrzydeł mocnych łopatek żłobił się głęboki rów pleców. Znały się tam ciemna ścieżka potu na koszuli.

Hipolit zadarł głowę i patrzył uparcie na Andrzeja.

— Ruchy jego są ruchami Jana.

— Głos jest głosem Jana. Tak właśnie krzychał — krzychał — krzychał...

Nie dokończył zdania. Wiedział przecież i tak.



J. CONRAD

10

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatarkiewiczowej

VI

Na statku, leżąc nawznak na kanapie, z pięściami przyciśniętymi do oczu, postanowił nie pójść na obiad do Dunster'ów i wogóle nigdy już tam nie powrócić. Postanawiał to już ze dwadzieścia razy. W błąd wprowadzało niepewną jeszcze jego wolę poczucie, że wystarczy, aby wyszedł na tylny pokład i zakomenderował spokojnie: „Podnieście kotwicę!” a żaglowiec, ożywiony, pomknie naprzód i oddali się przed wschodem słońca o setkę mil. Nic łatwiejszego! a jednak młodzieniec ten, który z powodu swej nieubłaganej zuchwałości miał już ustaloną złą opinię, nieugięty dowódca dwóch ekspedycji, tragicznie zakończonych, cofnął się jednak przed tym aktem dzikiej energii; natomiast począł szukać wymówek.

Nie! Nie ucieknie, nie robi tak, jak nieuleczalnie chory, który podrzyna sobie gardło. Skończył się ubierać i spojrzał z pogardą w lustro na swą spokojną twarz. Gdy płynął gikiem do brzegu, przypomniał sobie nagle dzikie piękno wodospadu, który widział przed laty w Menado, gdy był jeszcze małym chłopcem. Opowiadano, że generał-gubernator holen-

derskiej części Indyj zachodnich podczas oficjalnej podróży popełnił samobójstwo, rzuciwszy się w odmet wodospadu. Przypuszczano, że cierpienia, spowodowane chorobą, zniechęciły go do życia. Lecz czyż na świecie istniało cierpienie bardziej okrutne, niż to, które się nad nim znęcało, przywiązując go do życia, a zarazem torturując śmiertelnie!

Obiad odbył się w małym kółku. Czekano pół godziny na Willie'ego, ale nie przyszedł, więc krzesło jego obok panny Moorsom pozostało niezajęte. Po lewej ręce Renouard'a siedziała siostra profesora, ubrana w suknię kosztowną, ale odpowiednią dla jej wieku. Stara panna była tak znakomicie zakonserwowana, że przypominała Renouard'owi kwiat woskowy pod szkłem; bój życia nie pozostawił na niej ani śladu, ani pyłku najmniejszego. Renouard nie podobał jej się, gdy przychodził popołudniu w białym płóciennym ubraniu i w plantatorskim kapeluszu: strój ten wydawał się jej nieco cygańskim, nieodpowiednim na wizytę w domu, gdzie są panie. Lecz co wieczór znów podbijał jej serce swą postacią zgrabną i elegancko wyglądającą we fraku, i swym miłym, przytłumionym głosem. Mógłby być kimś bardzo dystyngowanym —

naprzykład—synem księcia. Pod wpływem tego wrażenia, (a także dlatego, że ją brat do tego namówił) usiłowała otworzyć swe serce Renouard'owi, który tymczasem przez stół wpatrywał się całą swą duszą w jej siostrzenicę. Przemawiała do niego tak szczerze, jak gdyby ten śmiertelnik, pozbawiony swej wewnętrznej treści, oprócz beznadziejnej miłości, był istotnie księciem.

Słuchał nieuważnie, dochodziły go tylko strzępki rozmowy, aż do chwili, gdy kończąc swe zwierzenia, zawołała:

— ... byłabym szczęśliwą, gdyby pan zechciał wyrazić swą opinię. Spójrz na nią: taka jest urocza, tak przez wszystkich psuta, podziwiana! Zbyt to smutne. Mielśmy nadzieję, że zrobi świetną partję, wychodząc zamąż za człowieka bardzo bogatego i na wysokiem stanowisku, że będzie prowadziła dom otwarty w Londynie i na wsi, że będzie wydawała wspaniałe przyjęcia. Stworzona jest do tego, tylu ma dystyngowanych znajomych! A zamiast tego — co się stało!.. Naprawdę, serce mnie boli, gdy o tem myślę!

Szept jej, uprzejmy, pomimo niepokoju, pokrywał głos profesora Moorsoma, wykładającego subtelnie na końcu stołu swemu szanownemu wyznawcy o Niestałości Wymierzeń. Mogło to stanowić jeden z rozdziałów nowszej, popularnej książki filozoficznej Moorsom'a. Stary Dunster, patryjarchalny i uszczęśliwiony, pochylił się nieco naprzód, oczy błyszczały mu młodzieńczo, a dwie czerwone plamy wystąpiły na jego policzkach, ponad siwą brodą; Renouard, patrząc na to starcze podniecenie, przypomniał sobie słowa, słyszane z subtelnych ust profesora; zrozumiał słuszość i uznał ich prawdę w zastosowaniu do tego starca, który pragnął, aby go jeszcze zabawiono nad brzegiem grobu. Tak! zaiste, to intelektualna rozpusta, ślizgająca się po powierzchni życia. Płytkość i szalbierstwo!

Po tej samej stronie stołu panna Moorsom, nie spojrzawszy na ojca ani razu, siedziała z ustami zacisniętymi; olśniewająca jej cera zaledwie była zaróżowiona, czarne oczy płonęły nieruchome, a faliste jej włosy lśniły miedzianymi blaskami; cały jej wdzięk zdawał się być zwarzony. Renouard wyobrażał sobie, patrząc na nią, jak, przewróciwszy stół, tłucze kryształ i porcelanę, depcze nogami kwiaty i owoce, porywa ją w ramiona i unosi, wystraszoną śmiertelnie i milczącą, pośród krzyków i zamieszania obecnych, do jakiegoś głębokiego ukrycia, jak w epoce jaskiniowej. Nagle wszyscy powstali, więc i on uczynił to samo, nie mógł, jednak, złapać oddechu i czuł się niepewnym na nogach,

Na tarasie filozof, zapaliwszy cygaro, wsunął protekcyjnie rękę pod ramię swego „drogiego“, młodego przyjaciela. Renouard odnosił się teraz do nie-

go z głęboką nieufnością, podczas, gdy znakomity uczony zdawał odczuwać względem swego młodego przyjaciela rzeczywistą sympatję, tajemny pociąg, jaki się zdarza czasem, mimo różnic wieku i pozycji światowej. W tym wypadku pociąg ten można było wytłumaczyć porażką, jakiej doznała filozofja profesora, przy zetknięciu się z rzeczywistemi kłopotami praktycznej natury.

Przeszli się parę razy wzdłuż tarasu, rozmawiając o tem i owem, gdy nagle profesor rzekł:

— Czy pan wie, że mój nieżyjący syn uczył się w tej samej szkole, co i pan? Wyobrażam sobie, że rozumielibyście się doskonale, gdybyście się znali. On też był człowiekiem czynu.

Westchnął i, otrząsnawszy się ze smutnych myśli, rzekł, wskazując na nieoświetloną część tarasu, gdzie widniała jasna plama sukni panny Moorsom:

— Takbym pragnął, aby pan przemówił do jej rozsądku i zniechęcił ją.

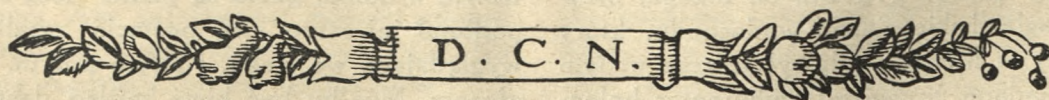
Renouard uwolnił ramię od uścisku najbardziej zdradzieckiego z ludzi i, udając wielkie zdziwienie, odstąpił o krok.

— Pan profesor żartuje sobie zapewne ze mnie—zawołał z cichym śmiechem, który był raczej pomrukiem wściekłości.

— Drogi przyjacielu, nie żartowałbym przecież z tych rzeczy. Nie zdajesz sobie, widocznie, sprawy ze swojego wpływu—dodał, kierując się ku krzesłom.

— Szarlatan!—pomyślał Renouard, stanąwszy bez ruchu i spoglądając za nim. — A jednak... a jednak.. Gdyby to było prawdą?

Zbliżył się do panny Moorsom. Siedziała na tem samem miejscu, na którem poraz pierwszy rozmawiali ze sobą, lecz tym razem to ona mu się przyglądała, gdy się zbliżał. Większość okien nie była teraz oświetlona, panna Moorsom siedziała więc prawie w ciemności. Wydawała mu się w swej jasnej sukni świetlanem zjawiskiem, postacią bez określonego kształtu, z twarzą bez rysów, aż do chwili, gdy usiadłszy obok niej, zamienili parę nic nie znaczących słów. Wówczas stopniowo zaczęła występować, jak czarodziejski obraz, tchnący wdziękiem, czarem i pożądaniem, a odbijający tajemniczym blaskiem od ciemnego tła. Coś nieokreślonego w linjach jej postaci, w brzmieniu jej głosu, łagodziło wrażenie spokojnej i nieświadomej dumy, okrywającej ją zwykle, niby płaszcz. Renouard, jak niewolnik, wrażliwy na usposobienie swego pana, odczuwszy pewne subtelne przytłumienie jej wdzięku, wzruszył się tem do głębi. Miał ochotę schwytać ją za rękę i, pociągnawszy za sobą wdół, do ogrodu, rzucić się do jej stóp pod wyniosłemi drzewami i wyznać jej swą miłość.



SPOŁECZNE ORGANIZACJE KOBIECE W SPRAWIE WYCHOWANIA FIZYCZNEGO



ok bieżący jest, bodaj, pod każdym względem przełomowy w dziedzinie wychowania fizycznego kobiet. Jednocześnie, niemal, zbiegają się w roku tym niezmierniej wagi inicjatywy czynników rządowych, społeczeństwa kobiecego i kobiecych klubów sportowych. Z westchnieniem ulgi powiedzmy sobie: Narreszcie! i, zabierając się do pracy, pamiętajmy, że przede wszystkim na rezultaty własnych wysiłków liczyć możemy. Miejmy psychikę sportowca, który doskonale wie i ocenia wszelką pomoc zzewnątrz, ale pamięta zarazem nieustannie, że, przede wszystkim, od niego samego zależy wynik jego pracy.

Jeśli spojrzeć na ubiegłe miesiące bieżącego roku z punktu widzenia, niejako, biegu wypadków, jeśli zechcemy chronologicznie ująć dokonane fakty w dziedzinie racjonalnego wychowania fizycznego kobiety, zmuszeni będziemy uszeregować je w porządku następującym:

W marcu powstaje Państwowa Rada Wychowania Fizycznego, w skład której, na ogólną liczbę 25 osób, wchodzi 5 pań. Jednocześnie utworzony zostaje Państwowy Urząd Wychowania Fizycznego, z płk. Ulrychem na czele, i już w pierwszych chwilach swego urzędowania wykazuje znaczne zainteresowanie dla sportu kobiecego, przeznaczając poważne subside na rzecz Warszawskiego Klubu Wioślarek i żeńskiego gniazda „Grażyna”. W kwietniu Magistrat m. Warszawy przyznaje w Parku Skaryszewskim teren sportowy dla „Grażyny”, stwarzając tym sposobem racjonalne podstawy rozwoju organizacji, która stanowi na terenie Warszawy jedyne wyłącznie kobiece środowisko pracy w dziedzinie gimnastyki, lekkiej atletyki, gier sportowych i t. d.

Jednocześnie rozwija akcję w kierunku propagandy wychowania fizycznego i sportów wśród kobiet społeczeństwa kobiece w Warszawie. Z inicjatywy Komitetu Przysposobienia Rezerw Kobiecych do Obrony Kraju utworzona zostaje komisja organizacyjna, złożona z przedstawicielek poszczególnych organizacji kobiecych warszawskich, powołana do opracowania statutu centralnej kobiecej organizacji dla wychowania fizycznego i sportów, w skład której weszły pp.: J. Gebethnerówna, K. Muszałówna i H. Olaszewska (personalnie), dr. Zabawska-Domosławska (Warsz. Klub Wioślarek), F. Tryburska („Grażyna”), I. Wittekówna (Komitet Przysposobienia Rezerw Kobiecych), W. Prażmowska (Związek Harcerstwa Polskiego), oraz dokooptowani pp. K. Weyrauch i Z.

Chrapowicki. Komisja przed paroma tygodniami ukończyła swe prace, poczem Walne Zebranie przedstawicielek poszczególnych organizacji kobiecych w dn. 6 maja r. b., zaakceptowawszy przedstawione statuty, powołało nowe zarządy do pracy, o czym mowa niżej.

Wreszcie na II Kongresie Sportowym, po referacie K. Muszałówny, przyjęte zostały wnioski pierwszorzędne dla sportu kobiecego znaczenia, o czym pisaliśmy szczegółowiej w jednym z poprzednich numerów. Kongres uchwala jednocześnie rezolucję, wzywającą Związek Polskich Związków Sportowych do zwołania w najbliższym czasie zjazdu, który zająłby się omówieniem najbardziej palących postulatów sportu kobiecego.

W artykule niniejszym zająć się pragniemy omówieniem zrealizowanej już inicjatywy organizacji kobiecych na polu propagowania wychowania fizycznego kobiet.

Komitet, powołany dla opracowania podstaw scentralizowania wysiłków społeczeństwa kobiecego w tej dziedzinie, w wyniku swych prac uchwalił powołanie do życia dwóch, w ścisłym ze sobą kontakcie pracujących, organizacji centralnych. Jedną z tych organizacji, nazwana „Zrzeszeniem Stowarzyszeń dla Wychowania Fizycznego Kobiet”, ma na celu utrzymanie stałej łączności pomiędzy społecznymi organizacjami kobiecymi, bez względu na ich załarwienie polityczne, oraz program pracy, celem wspólnego propagowania wychowania fizycznego, oraz informowania się o środkach i metodach, mogących przyczynić się do rozwoju fizycznego wśród kobiet polskich. Ponadto zadaniem Zrzeszenia będzie: przygotowywanie wspólnych wystąpień zrzeszonych stowarzyszeń do władz i innych instytucji w sprawie wychowania fizycznego, podejmowanie konkretnych prac wspólnych w tej dziedzinie, a wreszcie, współpraca z Kobięcym Związkiem Sportowym w dziedzinie krzewienia wychowania fizycznego i sportów.

Do nowo-powstałego zrzeszenia ze względu na doniosłość jego zadań, oraz całkowicie apolityczny charakter prac w tej dziedzinie, niewątpliwie przystąpią wszystkie społeczne organizacje kobiece, bez względu na swój program pracy i sympatie polityczne. Praca na terenie wychowania fizycznego, zmierzająca w prostej linii do podniesienia ogólnego poziomu zdrowia i sprawności fizycznej kobiet, niewątpliwie zmieści się w programie pracy każdej organizacji, i będzie poważnym czynnikiem propagandy idei odrodzenia fizycznego.

Do Zarządu nowo-powstałego Zrzeszenia weszły następujące panie: K. Łubieńska — przewodnicząca (Koło Polek i Komitet Przysposobienia Kobiet do Obrony Kraju), p. dr. M. Biehlerowa (Stowarzyszenie Kobiet z Wyższem Wykształceniem), p. H. Śliwowska (Związek Harcerstwa Polskiego), p. J. Miłobędzka (Związek Młodzieży Wiejskiej). Zarządowi pozostawiono prawo kooptacji nowych członkiń.

Organizacja Zrzeszenia pomyślana została według schematu następującego: na czele Zrzeszenia stoi Komitet, do którego każde z należących do Zrzeszenia stowarzyszeń deleguje jedną przedstawicielkę. Prócz stałych przedstawicielek w zebraniach Komitetu mogą brać udział z głosem doradczym zastępczynie przedstawicielek w liczbie dwóch na każdą organizację, oraz osoby, zaproszone przez Komitet jako rzeczoznawcy, lub doraźni pomocnicy w pracach Komitetu. Komitet wylania spośród siebie Prezydium (Zarząd), w skład którego wchodzi personalnie wybrane 4 osoby, oraz delegatka Kobiecego Związku Sportowego. Czas kadencji Prezydium-Zarządu określono na jeden rok.

Wszystkie uchwały Komitetu zapadać winny jednomyślnie. Ten paradoksalny, pozornie, postulat posiada bardzo głębokie uzasadnienie: ponieważ Komitet jest organizacją centralną poszczególnych stowarzyszeń społecznych, wśród których niewątpliwie różnice natury politycznej będą mieć miejsce, postanowienia Komitetu muszą zapadać jednogłośnie, aby — na wypadek różnicy zdań — uchwały, przeprowadzone wbrew opinii niektórych stowarzyszeń, nie wywołały rozbicia centrali.

Skonkretyzowany powyżej program pracy nowo-powstałego Zrzeszenia Stowarzyszeń dla Wychowania Fizycznego Kobiet, oraz sam fakt powstania tego rodzaju organizacji, wystawia chlubne świadectwo naszym społecznym organizacjom kobiecym, podkreślając ich zrozumienie dla idei odrodzenia fizycznego. Fakt ten jest zarazem wielemówiactwem stwierdzeniem prawdy, że w sprawach pierwszorzędnej doniosłości, w równym stopniu obchodzących cały świat kobiecy, możliwą jest i racjonalną współpracę wszystkich organizacji kobiecych bez względu na dzielące je różnice politycznych wyznań wiary.

Z radością witamy powstanie nowej centralnej placówki kobiecej, która na dalszym rozwoju wychowania fizycznego wśród dziewcząt i kobiet polskich zaważyć może w sposób nadzwyczaj doniosły.

Jak wspomnieliśmy wyżej — obok Zrzeszenia na walnem zebraniu przedstawicielek poszczególnych organizacji kobiecych w dniu 6 maja b. r. powołano również do życia i wyposażono w pełnomocnictwa zarząd Polskiego Związku Sportowego Kobiet. Sprawie tej poświęcimy artykuł następny.

W-na.

Kobieta w świecie i w domu

PRACE KOBIET W AKADEMII LONDYŃSKIEJ

Otwarta w dn. 3 maja w Londynie wystawa Royal Academy stała się wielkim triumfem dla artystek angielskich. I to pomimo faktu, że zarówno krytyka, jak i publiczność, mniej oswojona z sukcesami kobiet na polu nauki, przyzwyczajona jest do artystycznych ich sukcesów. To jednak, co znajduje się na tej wystawie, przechodzi znacznie dotychczasową miarę.

Obrazy i rzeźby są tak doskonałe, jako technika, a tak śmiałe, jako pomysły, że budzą ogólny podziw. Prawdziwym zaś arcydziełem jest płótno, zatytułowane „Poranek”, dziełem pendzla młodej artystki Dod Procter, zakupione jeszcze przed wystawą przez redakcję „Daily Mail” i ofiarowane przez nią Narodowemu Muzeum sztuki. Pani Procter mieszka wraz z mężem w Newlyn, w Kornwalji, gdzie prowadzą oboje szkołę malarstwa, głośną już dziś w Anglii. Pani Procter wślawiła się zwłaszcza wynalazkiem malowania na gipsie i wspaniałymi obrazami ściennymi, wykonanymi w pałacu milionowego finansisty chińskiego w Birnie. W roku zeszłym rząd francuski zakupił również obraz jej, wystawiony w Paryżu.

Ogółem w katalogu wystawy znajduje się pięćdziesiąt nazwisk kobiecych, żaden zaś z utworów, podpisanych temi nazwiskami, nie jest miernotą. Niektóre z tych artystek należą do wysokiej arystokracji, jak rzeźbiarka lady Welby, która posiada w swym pałacu wspaniałe atelier, a pracuje w niem prawie bez wytchnienia, dążąc do osiągnięcia rezultatów własnego, oryginalnego pomysłu. Lady Welby nie rzeźbi modela nieruchomego, ustawionego na podjum w obmyślanej pozie, lecz opracowuje figury w ruchu! Te rzeźbione w ruchu portrety, zwłaszcza dzieci, pulsuja życiem i sprawiają niezmiernie oryginalne wrażenie.

Drugą wybitną rzeźbiarką jest lady Forbes, uczennica sławnego Jaggerta, twórcy pomnika, wystawionego poległym artylerzystom w Hyde Parku. Prace jej, wystawiane zaledwie od dwóch lat, zyskały już duży rozgłos na wystawach akademii angielskiej, szkockiej i salonu paryskiego.

Dorobek kobiet na wystawie obecnej, prócz swej wysokiej wartości artystycznej, przedstawia jeszcze ogromną różnorodność rodzajów malarstwa. Wielkie płótna olejne i maleńkie, wypieczone akwarelki, prześliczne pastele, tak w ostatnich czasach zaniedbane, bardzo oryginalne miniatyry. Krajobrazy i portrety, malarstwo rodzajowe, nawet... sceny baletowe.

Zanotować należy jeszcze bardzo ciekawą próbę — poza wystawą: obraz p. Ervelyn Bodeson. Płótno, 50 stóp szerokie i 8 wysokie, przedstawia Chrystusa, nauczającego tłumy, i przeznaczone jest dla kościoła w All Hallowe. Wszystkie postacie, otaczające Zbawiciela, przedstawione są w strojach współczesnych. Jest to nawrót do metody malarzy średniowiecznych, przedstawiających świętych w kostiumach epoki, w której dzieło zostało stworzone. N. J.

NOWY ZAWÓD KOBIECY W AUSTRII

Stolica naddunajska ogląda z wielkim zaciekawieniem... pierwszą szoferkę. Jest nią panna Felicyta Fischer, dwudziesto-kilkoletnia córka inteligentnej rodziny mieszczańskiej.

Panna Fischer przeszła ze swoim zawodem prawdziwą Odyseję. Poprostu nie chciano jej pozwolić zostać szoferką. Podania jej o pozwolenie jazdy odrzucały kolejno: miejski wydział ruchu kołowego, magistrat i ministerstwo handlu i komunikacji.

Ale dzielna szoferka (nb. b. przystojna) nie dała za wygraną — poszła ze skargą na wszystkie te wyroki do Trybunału administracyjnego. „W konstytucji austriackiej nie istnieje paragraf, zabraniający kobietom jazdy samochodem i wożenia nim pasażerów”, podała jako motyw swej skargi.

I trybunał przyznał jej słuszność. Było to jeszcze w październiku zeszłego roku. I aż do tej pory chodziła znów panna Fischer od biura do biura, od instancji do instancji, zanim zdołała teoretyczne orzeczenie najwyższego sądu administracyjnego zamienić na... faktyczne prawo jazdy.



Obecnie, jednak, posiada je już, zarówno jak miejsce postoju przed kawiarnią Fertzera, gdzie koledzy - szoferzy patrzą na nią z ciekawością, zmieszana z odrobiną ironji.

Ta jednak prędko minie, zdaje się. P. Fischer skończyła z odnalezieniem szkoły szoferów, umie doskonale radzić sobie ze swoją maszyną i będzie napewno dobrym „dorożkarzem”. Zawód swój będzie wykonywać we własnym aucie, gdyż żaden z przedsiębiorców samochodowych nie chciał zaangażować kobiety.

W Paryżu jest, podobno, już 10 szoferek, są i w Berlinie. W Wiedniu przykład panny Fischer pociągnął już sześć naśladowczyń.

Młoda „dorożkarka” jest osobą wykształconą i bardzo dobrą pianistką. Dwie jej siostry pracują, jako biuralistki. Ona jednak nie znośi „dusznego zajęcia”. Lubi sport, i jazda autem sprawia jej wielką przyjemność. Większą jednak, jak twierdzi, znajduje w tem, że jest niezależną materialnie.

N. J.

KOBIETY, MAJĄCE DŁUGIE JĘZYCZKI, BĘDĄ WIĘZIONE

Małe miasteczko pruskie Kistrzyn, pragnie wskrzesić pewne zwyczaje średniowiecza, mianowicie: gadatliwe niewiasty będą skazywane tam na karę więzienia. Piękne panie w Kistrzynie słyną, pono, w okolicach ze swego gadulstwa i przyczyniają wiele kłopotu mężom stanu; po całych dniach nie chcą też nic robić, tylko latają po kominkach i gadają, gadają, gadają. Wreszcie mężowie zbuntowali się... pracują tak ciężko, życie powojenne jest bardzo drogie!

Ten nawrót do zamierzchłej przeszłości, to więzienie za plotkarstwo stanie się zapewne postrachem dla niejednej kumoszki. Zaiste, ileż czasu traci kobieta na niepotrzebne mienienie językiem, ile przysparza przykrości i nieporozumień!

W czasach średniowiecznych taką zbyt gadatliwą niewiastę prowadzono przez całe miasto z odkrytą głową, do ciemnej wieży, w której zamknięta przez kilka dni o chlebie i wodzie, rozmyślała w samotności nad swoimi „ułomnościami”. Podobno skutki były zadziwiające..

Być może mieszkanki Kistrzyna, (o gdyby nietylko Kistrzynia!) ulegną się tej kary i... zaniemówią przynajmniej na pewien czas.

H. S.

CIEŻKI KRYZYS NA RYNKU MAŁŻEŃSKIM

Nie można twierdzić, aby wyrażenie „rynek małżeński” było poetyczne.

Mimo to istnieje on we wszystkich krajach, i specjaliści-pośrednicy ciągną z niego zyski, nie gorsze od innych handlarzy. „Biura stręczenia małżeństw” stały się, jednak, w ostatnich latach—złym interesem.

Wczasy wojny i bezpośrednio po niej nie zawierano wprawdzie „poważniejszych kontraktów”, ale zato obrót był wielki, bo zmęczeni wojną młodzieńcy pragnęli się na gwałt ustalić i zakładać ogniska rodzinne. Obecnie młodzież spoważniała i, jak to dawniej bywało, ogląda się za posagami.

Firma Bob Stanley and Comp., jedno z największych na świecie międzynarodowych biur pośrednictwa małżeństw, zapatruje się bardzo pesymistycznie na obecny jarmark małżeński.

Przed wojną posag, wynoszący pół miliona franków szwajcarskich, nie był rzadkością; 100.000 franków mógł wziąć za żoną każdy inteligentny, z akademickim wykształceniem, młodzieniec, choćby nawet nie był Endymjonem, — obecnie zaś niema mowy o posagach.

Czasami jakiś emigrant, wzbogacony w egzotycznych krajach, zapragnie wydać swą córkę za rodaka w Europie i ofiaruje za nią marnych sto tysięcy dolarów, ale dzieje się to wyjątkowo i na palcach policzyć można takie wypadki.

Wymagania i gusta posażnych panien zmieniły się do niepoznania.

Dawniej ideałem bogatej damy był arystokrata, oficer, lub dyplomata—obecnie wszystkie te trzy kategorie mężczyzn zeszły na plan ostatni.

Poszukiwani są ludzie praktycznych zawodów, przede wszystkim zaś inżynierzy, przemysłowcy i kupcy.

W ostatnich czasach amerykanki wychodzą chętnie zażam za artystów i literatów. Zwłaszcza poeci cieszą się wielkim popytem na rynku małżeńskim. Największe posagi w ostatnich trzech latach wzięli dwaj literaci, z których jeden był powieściopisarzem, drugi — poetą.

W. B.

NAJPOPULARNIEJSZA KOBIETA W CHINACH

Japonia ma swoją panią Suzuki, która—dzięki niespodziewanemu bankructwu swoich olbrzymich przedsiębiorstw — spowodowała kryzys finansowy w kraju i upadek gabinetu... Naród niecierpi jej.

Chiny zaś mają swoją — Jeannę D'Arc — którą robotnicy i studenci czczą, jak świętą. Jest nią panna dr. Soume-Czeng, której karjera polityczna może być zaliczona do niezwykle interesujących zjawisk. W wieku bardzo młodym, bo mając zaledwie lat 17, panna Czeng zrywa ze swym moźnym narzeczonym, nie licząc się wcale z oburzeniem i gniewem swej rodziny, należącej do wybitnej sfery szlacheckiej.

Młodziutka Soume-Czeng bierze czynny udział w chińskim ruchu narodowym i oddała dla bliskiej swemu sercu sprawy rewolucji oddaje niezliczone przysługi, narażając niejednokrotnie życie na niebezpieczeństwo.

Jest nie po kobiecemu odważna, orjentująca się w najtrudniejszej sytuacji z szybkością, godną podziwu—i ma „żelazną rękę”, jak mówią o niej jej towarzysze. Najlepiej się czuje w atmosferze tajnych spisków i knań politycznych. Komitet rewolucyjny powierza jej najniebezpieczniejsze misje.

W roku 1910 przewozi w tajemnicy dynamit z jednej części Chin do drugiej; ona też przemycała bomby do Pekinu, uczestniczyła w zamachu na zniechęconego generała dawnej dynastji cesarskiej, a gdy dodany jej do pomocy towarzysz, który rzucał bombę, zginął w sposób tragiczny, zwycięski rząd Cesarski widzi w tej „dziewicy Orleańskiej” najniebezpieczniejszego wroga i wysłała ją z ojczyzny.

Soume-Czeng udaje się z innymi studentami-rewolucjonistami do Francji, odbywa studia prawnicze w Sorbonie i wśród tamtejszych kół narodowych odgrywa rolę wybitną.

W Paryżu pozostaje przez cały okres wojny światowej, otrzymuje doktorat praw, składając przytem rozprawę p. t. „Ruch Konstytucyjny w Chinach”. W roku 1925 powraca do Kantonu i zostaje mianowana przez rewolucyjny rząd kantoński przewodniczącą Komitetu rewolucyjnego w Szangainie.

Jest też pierwszą adwokatką-kobietą w „Niebieskim Państwie”.

H. S.

DZIEWCZĘTA WIEJSKIE BĘDĄ UBEZPIECZONE... ALE NIESTETY TYLKO WE FRANCJI

Jednym z najbardziej znamienitych zjawisk powojennych które daje się zauważyć we wszystkich uprzemysłowionych krajach europejskich—jest wyludnienie wsi na korzyść miast. Wyludnienie wsi we Francji ma specjalne znaczenie, idzie, bowiem, w parze ze stałym, przerażającym zmniejszaniem się przyrostu ludności.

Wyludniają się więc całe obszary rolne, (np. na południu Francji) które leżą odłogiem, lub zostają wykupione przez emigrantów cudzoziemskich. Niezwykle ciekawe obserwacje na ten temat poczynił członek rady miejskiej Paryża, Am. Rendu—który dowiódł, że dziewczęta, i tylko dziewczęta dają pierwszy impuls do opuszczenia wioski rodzinnej.

Fascynuje je wielkie miasto, odmienny tryb życia, perspektywa jakiejś niezwykłej kariery. I nietylko to: — dziewczęta wiejskie (za wyjątkiem jedynaczek) są zazwyczaj pokrzywdzone w dziale przez braci swych, a gdy wychodzą zażam, nie zawsze też są — u siebie, — zmuszone zamieszkiwać wspólnie z teściami jedną izbę.

Ileż łez skrytych i jawnych, ileż upokorzeń i męki przynosi młodej kobiecie taka wspólna gospodarka ze świekrą! Bardziej więc przedsiębiorcze i śmiałe porzucają żmudną pracę na roli i śpieszą do wielkich miast. Nie wracają stamtąd prawie nigdy. Częściej, podąża za starszą siostrą — młodsza, albo zakochany chłopiec.

Jako lekarstwo na ten pęd dziewcząt ku miastom, proponuje p. Rendu ubezpieczenia materialne dziewcząt wiejskich.

Rodzice każdej nowonarodzonej dziewczynki winni są przez 21 lat składać na jej książeczkę 90 fr. rocznie, tyleż gmina i państwo, tak że dziewczyna, po dojściu do pełnoletności, staje się właścicielką 10.000 fr.; to już jest grosz. Wrazie wyjścia zażam za wieśniaka bezrolnego, ma prawo otrzymać pożyczkę do 50.000 fr. w Tow. Kredytowem Ziemiem, która jej ułatwi założenie własnego gospodarstwa.

Francuskie Ministerstwo Rolnictwa zaakceptowało projekt pana Rendu, mając głównie na celu przeciwdziałanie wyludnieniu wsi francuskiej. Gdybyż to nasze dziewczęta wiejskie, najczęściej bezposagowe, doczekały się takiej doli, jak ich siostry we Francji!

H. S.

ZNECĄCIE SIĘ NAD DZIEĆMI W ROSJI SOWIECKIEJ

Znana bardzo wytwórnia kinematograficzna w Rosji, pod nazwą „Proletkino“, zorganizowana przez finansistów sowieckich, dopuściła się bezlitosnego czynu na bezdomnych dzieciach ulicy, zmuszając je do grania dla filmu, w warunkach niemal karygodnych.

Dyrekcja „Proletkino“ zakończyła właśnie przygotowanie olbrzymiego obrazu, p. t. „Café Frankoni“, w którym musiały wziąć udział setki dzieci.

Sierotki uliczne zostały spędzone do wytwórni i pod groźbą kary, czy też obietnicy otrzymania rubla dziennie na głowę, zmuszone były wyprawiać rozmaite brewerje na śniegu, w zimnej wodzie, podczas śnieżnej burzy, w polu.

Oblewano je też z sikawek strażackich wodą na mrozie i trzymano godzinami w wilgotnych, ciemnych piwnicach.

Jednym słowem, film udał się znakomicie, reżyserzy ciepło ubrani i syci, przyglądali się z uciechą „stadom“ głodnych, obdartych dzieci, które dla chleba narażały swe życie i zdrowie na niebezpieczeństwo. Miłe złego początki, lecz koniec żałosny... Po zakończeniu przygotowań, dzieci-aktorzy zaczęły mrzeć masowo z przeziębienia i wyczerpania.

Fakt ten nie uszedł uwagi pewnych, zainteresowanych tą sprawą, sfer.

Wreszcie konkurencyjna firma kinematograficzna „Goskino“ wniosła skargę do sądu o bezlitosne znechęcie się nad dziećmi ulicy.

Sprawa powyższa budzi w Rosji „artystycznej“ wielkie zainteresowania.

H. S.

OBRADY MIĘDZYNARODOWEJ KOBIECEJ LIGI WOLNOŚCI I POKOJU

W dniu 8 maja odbyły się w Bytomiu obrady wielkopolskiej konferencji pogranicznej, zorganizowane przez międzynarodową kobietą ligę wolności i pokoju.

W obradach wziął udział polski konsul gener. w Bytomiu, niemiecki konsul gener. w Katowicach i prezes międzynarodowej ligi Calonder. Przedstawicielki Polski oświadczyły, że nie zgadzają się na postawienie sprawy „korytarza“ na porządku dziennym. Wieczorem, po obradach odbył się wiec w teatrze; przemawiały przedstawicielki Polski: dr. Tylicka—o potrzebie pacyfizmu i p. Dąbska—o potrzebie moralnego uzbrojenia narodów. Pani Kirchof, przedstawicielka Niemiec, mówiła o niemiecko-polskim porozumieniu.

H. S.

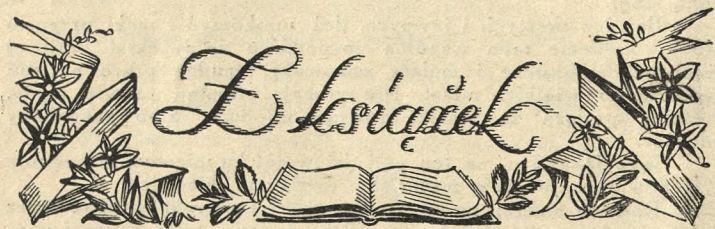
OGÓLNO-POLSKI ZLOT MŁODYCH POLEK W POZNANIU

Podczas Zielonych Świąt, t. j. 5 i 6 czerwca r. b., odbędzie się Ogólno-Polski Zlot Młodych Polek w Poznaniu.

Ze 110.000 druzhen z całej Polski, przybędą tysiące do prastarego grodu Przemysława, żeby zapoznać się pomiędzy sobą, nawiązać bliższe stosunki i poznać dzielnicę poznańską. Zarządy okręgowe Stowarzyszeń Młodych Polek apelują do wszystkich druzhen, aby jaknajliczniejszy udział wzięły w tym Zlocie, gdyż podobna okazja powtórzy się dopiero po kilku latach.

Uczestniczki, o ile możności, winny stawić się w mundurkach, ze sztandarami i proporczykami zastępów.

H. S.



I. L. L. d'Arbrey. Antologie internationale,
Paris 1927.

Wyszła niedawno w Paryżu Międzynarodowa Antologia, czyli zbiór utworów francuskich, napisanych przez cudzoziemców. Zebrał się tego tom niemały, bo mający 343 strony, a w rzędzie przeróżnych narodowości znajdujemy aż cztery polskie nazwiska.

Są nimi: Artur Chojecki, Helena Czetwertyńska, Antoni Lange i Zofja Rościszewska. Czterech poetów i cztery bardzo odrębne typy twórcze, z jednym, dość zresztą wybitnie zaznaczonym, punktem wspólnym, którym jest nawskroś uczuciowy stosunek do życia.

Artur Chojecki jest w pierwszym rzędzie muzykiem. Wiersz jego przelewa się ze słowa na słowo, jak wykończony utwór muzyczny, (np. „Souvenirs“), a dźwięczność francuskiej mowy umiał wykorzystać z przedziwnym, jak na cudzoziemca, mistrzostwem. Wiersze Chojeckiego mówią przeważnie o miłości, oglądanej z punktów najdalszych i najbliższych, o miłości radosnej i słodkiej, w której, albo wcale niema smutków, albo też są one już zupełnie zapomniane i przedawnione, (np. wiersz p. t. „Le Retour“). Zupełnie innego rodzaju są wiersze Heleny Czetwertyńskiej: przedewszystkiem o treści bardzo bezpośredniej. Forma tych wierszy nie jest stwarzana obok treści, ale wynika z niej samej. W wierszach tych wszystko jest „od wewnątrz“, autorka na wszystko patrzy poprzez własne „ja“, które, jak zresztą wogóle w utworach o zabarwieniu lirycznym, jest ośrodkiem jej twórczości.

Utwory Zofji Rościszewskiej poszły znowu innemi drogami: zbliżają się one, bowiem, może najbardziej do najnowszej liryki, która nie jest zapatrzona jedynie w przemiany własnej duszy, ale patrzy na siebie poprzez świat zewnętrzny. Wiersze Zofji Rościszewskiej uderzają niezwykłą subtelnością odczuwania i lekkością formy.

Ze wszystkich czterech, reprezentowanych w książce tej, polskich poetów, Zofja Rościszewska włada bodaj najswobodniej formą francuskiego wiersza i bawi się, poprostu, wyginając go dźwięcznie, podług swej fantazji. Całość, lekka i subtelna, kaprysami formy przypomina utwory Kossak-Pawlikowskiej, której kilka utworów, z tomika p. t. „Pocałunki“, Zofja Rościszewska bardzo ładnie przełożyła na francuski.

Co się tyczy utworu Antoniego Lange p. t. „A La France“—(niewiem dlaczego, przypomina mi się tutaj prześliczny utwór L. Roquigny'ego, p. t. „A La Pologne“—czyżby mimowolne, uprzejme oddanie ukłonu?)—to odbiegł on zupełnie od twórczości trzech poprzednich poetów, gdyż posiada pewne zabarwienie epickie, z domieszką patosu. Niesłusznie autor prosi czytelników o pobłażanie: wiersz jest napisany czystym i mocnym językiem, a pewne sposoby obrazowania są bardzo dobre, choć może trochę archaiczne w pojmowaniu. Lecz że samo założenie wiersza jest archaiczne (prawie, że klasycyzm), więc całość robi zupełnie harmonijne wrażenie.

Z. M.

Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Wznowienie „Fidelia“ Beethovena w operze.—Jubileuszowy koncert Ludwika Ursteina.

Recital śpiewaczy Jana Lonckiego. Koncert symfoniczny w Filharmonji — Margot Kaftal — Koncerty stowarzyszenia miłośników dawnej muzyki

W całej literaturze operowej jest „Fidelio“ Beethovena jedynym dramatem, który w swoim założeniu, koncepcji i przeprowadzeniu, niezależnie od zespołów wokalnych, napisanych we włoskim stylu i ludzaco nieraz podobnych do mozartowskich—odbiega akcją swoją daleko od przyjętego wówczas, przedtem i potem szablonu scenicznego, od wszystkich efektów teatralnych, a nawet od wyraźnej ekspozycji dramatycznej. W operze Beethovena nie się nie dzieje, a tekst jej da się streścić w jednym zdaniu: Leonora chce uwolnić z więzienia męża swego, Florestana, ofiarę niewiasty,—i cel ten osiąga,—oto wszystko! Dramatyczność Beetho-



Beethoven — sylwetka z lat młodziennych wielkiego mistrza tonów

vena, która dała najpotężniejszy wyraz w muzyce symfonicznej, w utworach kameralnych i instrumentalnych — załamała się na samym dramacie.

W bogatym dorobku twórcy IX symfonii żaden utwór nie był napisany z takim nakładem pracy i wysiłku, jak właśnie „Fidelio”, — kompromis Beethovena z teatrem, dzieło skrytej natury, oderwanej, żyjącej życiem wewnętrznym, myślącej tylko kategoriami muzycznymi, a wystawionej dla widowni w formie zaledwie możliwie scenicznej. Antonio Salieri udzielał Beethovenowi rad i wskazówek w dziedzinie twórczości operowej, która zjednywała kompozytorowi w owych czasach daleko większą popularność i rozgłos, aniżeli utwory, przeznaczone dla sali koncertowej; gdy autor „Fidelio” ze swej strony studiował pilnie teksty Szekspira, Goethego, Grillpartera — rysował kontury muzyczne do „Fausta”, „Macbetha”, „Meluzyny” — miewał długie narady z librecistami współczesnymi i tylko nieporozumieniom z nimi przypisywał trudności swoje w napisaniu opery. Jednakże dla natury, nie mającej istotnego kontaktu z życiem i jego przejawami, które dla Beethovena niejednokrotnie pozostały tylko teorią, — napisanie utworu, mającego na celu promieniowanie na widownię wzniosłym uczuciem kobiety do mężczyzny, żony do męża, a więc akcją, opartą na głównej arterji życia, — przedstawiało nietylko najtrudniejszą do przezwyciężenia trudność dramatyczną, ale też, mimo kilkakrotne przeróbki, pozostało utworem w swojej treści mało żywotnym, o jedynie wielkich wartościach muzycznych.

Nieunikniony w dramacie operowym pierwiastek erotyczny uważał, surowy w swoich poglądach, Beethoven za swawolny i niegodny opracowania muzycznego, i miał też za złe Mozartowi, którego uwielbiał, że cudowną muzyką swoją mieniał na liczman „frywolnych” tematów i rzucał ją na usługi kochliwych amantów włoskiej opery. Nie wiedział o tem Beethoven, że jedynie przeżycie pewnej treści decyduje o jej żywotności na scenie. Brak pierwiastka erotycznego w „Fidelio”, liryka, nie brzmiąca miłością, ale szlachetnym uczuciem przywiązania i wierności, były właśnie powodem niepowodzenia opery. „Fidelio” (tekst J. Bouilly), wystawiony poraz pierwszy w Wiedniu 1805 roku, spotkał się z najobjętniejszym przyjęciem publiczności, która nie rozgrzała się dla następnej przeróbki opery. Dopiero gruntowna i do wymagań scenicznych dostosowana przeróbka dramatu na kongresie wiedeńskim pozwoliła genialnemu twórcy odnieść należyty triumf w operze; oceniono, wprawdzie, wyżej znacznie dramatyczne wartości równocześnie pisanej „Eroici”, ale też uznano przepiękną i przejrystą w swojej krystalicznej czystości muzykę „Fidelio”, do którego Beethoven napisał cztery uwertury. Mimo wszystko, „Fidelio”, jako treść czysto intelektualna, niesceniczna, bez akcji, w genialnej oprawie muzycznej — pozostał obcy szerszej publiczności, doceniony tylko przez świat muzyczny.

Wznowienie „Fidelio” nastąpiło w naszej operze ze znacznym opóźnieniem i słabym bardzo przygotowaniem. Partję sopranu dramatycznego „Fidelio” (Leonory) powierzono p. Czapskiej, która z zadania swego wywiązała się bardzo dobrze, zdobywając się czasem na silne akcenty dramatyczne. W miarę możliwości opowiadał p. Dobosz partję Florestana, który waha się pomiędzy

tenorem lirycznym, a bohaterskim. Słaby, jako Rocco, był J. Mossoczy (arja o złocie wypadła bardzo blado). Mizerny był chór więźniów — źle obsadzona partja Pizarra — bardzo korzystnie wypadły epizodyczne role p. Karwowskiej (Marcelina) i Janowskiego (Jagnino). Orkiestra pod batutą dyrektora Młynarskiego dopiero w trzeciej uwerturze stanęła na wyżynie zadania. Przedstawienie poprzedziło słowo wstępne prof. St. Niewiadomskiego, który treścią określił znaczenie „Fidelio” w muzyce operowej.

W Filharmonji odbył się koncert niezwykle uroczysty dla polskiego świata muzycznego: Ludwik Urstein, były profesor konserwatorium warszawskiego, świetny muzyk i najlepszy, znany wszystkim zagranicznym sławom śpiewaczom, które kiedykolwiek w ciągu tego czasu produkowały się w Warszawie, akompanjator, — obchodził 35 lecie swojej, dobrze zasłużonej i najlepiej w pamięci wdzięcznych słuchaczy zapisanej, kariery estradowej. Ludwik Urstein, jako akompanjator solistów, nie schodzi nigdy na drugi plan: jego towarzyszenie fortepianu nietylko współżyje z solistą, podnosząc jego znaczenie wartością oprawy instrumentalnej, ale zawsze zwraca na siebie uwagę błyskotliwością brzmienia i perlistością biegników fortepianowych, wielką kulturą, zrozumieniem stylu utworu i niezawodnym podtrzymaniem solisty przez fortepian.

W ciągu swojej długoletniej praktyki akompanjatora, umiał Urstein poznać wszystkie właściwości, zalety i wady solistów, umiał im się zawsze w miarę podporządkować, w miarę poddać im wskazówki artystyczne, a przede wszystkim, i zawsze, podnieść wartość ich interpretacji, podkreślić akompanjamentem muzyczne znaczenie koncertu. 35 lat pracy o wysokiej i niezastąpionej wartości na estradzie Filharmonji i konserwatorium, w stolicy i na prowincji, zjednało Ursteinowi największą popularność i najszersze uznanie. Dlatego koncert jubileuszowy zasłużonego muzyka był prawdziwym świętem Filharmonji. Na program złożyło się Trio Czajkowskiego, w którym jubilat odegrał partję fortepianową wraz z Ozimińskim i Budkiewiczem. Atrakcją koncertu był współudział Ady Sari, która za każdym razem zdobywa publiczność przepięknym brzmieniem swego ogromnego głosu, świetną i błyskotliwą techniką koloratury i wielką kulturą artystyczną.

Owacje, kwiaty i entuzjazm przepięknej sali Filharmonji były dla zasłużonego jubilata wyrazem, jak bardzo Warszawa umie cenić jego artystyczną pracę i wysiłki, dziś na tem polu u nas bez konkurencji!

* * *

Egzotyczne zjawisko na koncercie i w operze wywiera zawsze wpływ na publiczność, której na „wabia” trzeba dać jeszcze coś, ponad wartości muzyczne i wtedy, niezależnie od produkcji, można liczyć na powodzenie gościa.

Jeśli Teiko Kiwa święcił triumfy, jako „Madame Butterfly”, dając się u nas podziwiać w tej operze niezliczone razy — to murzyn, jako „Otello”, miałby napewno niemniejsze powodzenie. Istnieje już w świecie sławny murzyn, tenor dramatyczny, podobno nieznany „Otello”, ale Jan Loncke, który wystąpił z recitalem w konserwatorium, nie jest śpiewakiem tej wysokiej klasy. Głos nieduży, o miłym, szlachetnym brzmieniu, nadaje się tylko do minjaturowej formy śpiewu, a więc — do pieśni. Ale Jan Loncke opanowuje bardzo dobrze styl swojego programu, w pieśniach przejawia dużą kulturę muzyczną, doskonałą dykcję, szczególnie angielską, i wzorową umiejętność frazowania. W programie były arje włoskie i pieśni niemieckie, francuskie, oraz najlepiej przez artystę odśpiewane: „Negro spirituals”.

Dyrekcja p. Markiewicza, mająca prawdziwe zasługi w ciekawie i mądrze obmyślonem sezonie koncertowym, powinna jednakże pomyśleć zawsze o dobrem towarzyszeniu fortepianu, które ma znaczny wpływ w recitalu śpiewaczym, stanowi bowiem jego ramy. Tym razem akompanjament nie podtrzymywał artysty i nie stał na poziomie estradowym.

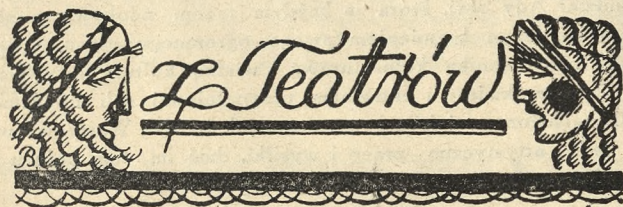
Atrakcją popołudniowego koncertu symfonicznego w Filharmonji był współudział świetnej śpiewaczki operowej, Margot

Kaftal. "Ponieważ nie mamy sposobności i nieprędko jeszcze zapewne ujrzymy w naszej operze ostatnią operę Pucciniego „Turandot“, musimy się ograniczyć do słuchania w Filharmonii jej fragmentów w interpretacji p. Kaftal, która, nie mając do rozporządzenia sceny operowej, ani orkiestry, umiała zdobyć się na najsilniejszy akcent dramatyczny w odśpiewaniu arji „Turandot“ z towarzyszeniem fortepianu. Ogromnie trudna arja, oparta głównie na wysokich tonach, odpowiada świetnie pełnemu blasku i potężnej sile sopranowi dramatycznemu artystki, która ze swoim nazwiskiem łączy bogaty i dobrze zasłużony dorobek operowej kariery. Trudno, istotnie, nie podkreślić zdziwienia, że gdy sopran dramatyczny tej miary, co Margot Kaftal, śpiewa w Filharmonii z tow. fortepianu, — w operze, z powodu braku głosów dramatycznych, poświęca się dla tych partyj najpiękniejsze głosy liryczne i koloraturowe! Margot Kaftal zbierała rzęsiste oklaski za odśpiewanie arji z „Cyda“ Masseneta i arji z „Turandot“ i musiała dwukrotnie na dodatek dorzucić „Eclat de rire“ Aubera. Akompanjował subtelnie prof. Urstein.

Symfonię Goldmarka „Wesele“ prowadził sprężyste uzdolniony dyrygent, Tadeusz Mazurkiewicz.

Stowarzyszenie miłośników dawnej muzyki rozwija podziwu godną ruchliwość. Wydobywa z kurzu zapomnienia rękopisy dawnych kompozytorów polskich, zapoznaje też publiczność z utworami organowymi Frescobaldiego i Muffata, z kompozycjami chóralnymi Orlanda di Lasso, oraz z zespołami Vivaldiego i Mozarta i daje dydaktyczne komentarze w programach. Najciekawszym numerem ostatniego programu był kwintet Mozarta na fortepian, klarnet, obój, waltornię i fagot, dający naszej publiczności możliwość poznania bliżej tak mało kultywowanych u nas zespołów na te instrumenty.

P. L.



TEATR POLSKI

„Wieża Babel“ — dramat w 3-ach aktach Antoniego Słonimskiego, reżyserja L. S. Schillera, dekoracje T. Gronowskiego.

Są pewne skłonności psychiczne w organizacji twórczej człowieka, tkwiące w nim podświadomie, jako siła bezwiedna i fatalna. Wypływają one nieraz na powierzchnię rzeczywistości w chwilach najmniej pożądanym, jako przykra niespodzianka twórcy, podcinająca u korzenia jego preliminarz kompozycyjny i sprowadzająca ostre przesilenie budżetowe w samym założeniu dzieła.

Świadcami takiego, zresztą ze wszechmiar interesującego, kryzysu byliśmy na przedstawieniu „Wieży Babel“ Antoniego Słonimskiego. Premierze znanego skądinąd chlubnie autora towarzyszyło żywe zaniepokojenie krytyki i publiczności. Co nam da, jakim głosem przemówi do nas ze sceny świetny liryczny i cięty krytyk teatralny, lśniącym tomahawkiem sarkazmu skalpujący na gładko czerepy żywych i dostojne czaszki umarłych?

Oczekiwaliśmy rewelacji, — dano nam wytarty liczman symbolizmu i demagogii. Pragnęliśmy ujrzyć żywego człowieka, — pokazano nam homunculusa z retorty. Śniło nam się, że „Wieża Babel“ będzie jakąś szklaną górą nowoczesnej poezji, — wprowadzano nas do laboratorium ze szkła. Kazano nam podziwiać żelbetonowe ambicje, bezkrwiste preparaty przedwcześnie zwiędłych mózgów, zautomatyzowaną muskulaturę mas ludzkich, wprzęgniętych w jarz-

mo ideologii pacyfizmu i braterstwa ludów, zrzucających to jarzmo takim samym odruchem zniechęcenia i buntu, z jakim niegdyś targały pęta kapitalizmu i nacjonalistyczno-militarnych ustrojów. Kazano nam wierzyć w potęgę mózgu, w zmechanizowaną przyszłość świata, od której wiało trupem.

Jakaż geneza tego „opłakanego apostołstwa“?

Gdzież źródło tych propagandowych poczyniń, ze sztuką nie mających nic wspólnego? W psychicznej organizacji autora. Istnieją ludzie dziedzicznie obciążeni romantyzmem, ci ludzie widzą świat przez pryzmat serca, problemy społeczne rozstrzygają na drodze uczuciowej. Do tego typu należał nawet Krasiński, najbardziej „mózgowy“ z trzech wieszczów, najbardziej skondensowany myślowo. Ale ten mózg i myśl prześwieślał genialny promień intuicji, łączący pozornie rozbieżne pierwiastki rozumowe i uczuciowe w spiszowy stop dzieła sztuki.

Otóż tego promienia w „Wieży Babel“ brak. Konstrukcja, zakrojona na rozmiary Mount Everest'u, jest mroczna, jak noc podbiegunowa. Rozświeśla ją tylko od czasu do czasu zorza polarna — ponure błyski fantasmagorii, nieprawej córki intelektu i zniekształconej wyobraźni.

Autor „Wieży Babel“ należy do duchowej rasy ludzi, przywykłych od wieków do spekulatywnego ujmowania rzeczywistości. Mózg jest jedynym sprawdzianem i sędzią, czynnikiem, który wybiera, segreguje, rozstrzyga. Jedynie miarodajny na terenie nauki, bezsilnie załamuje się na progu sztuki. I nic na to poradzić nie można. Formuła romantyczna „mierz siły na zamiary, nie zamiar podług sił“ — praktycznie nie da się urzeczywistnić, jeżeli jej nie pomnożymy przez inne, paseistyczne, a jakże niesłusznie dziś pogardzane hasło: „miej serce i patrzaj w serce“.

Wysiłek p. Antoniego Słonimskiego przy wznoszeniu „Wieży Babel“ świadczy chlubnie o przejęciu się autora pierwszym hasłem romantyzmu. Rozmachem talentu, prężnością myśli, dynamiką żywego słowa pragnął wydzwignąć pod niebiosy strzelisty, jak bębel, w oko słońca wymierzony, wiecznie narastający gmach tęsknoty do nieziszczalnych ideałów ludzkości. W tym zamiarze tkwiło sceptyczne spojrzenie mędrca i smutek poety. Myśl była piękna, młodzieńcza razem i starcza, rozkwitająca w kielich marzenia, a jednocześnie w zarodku już zabita zgnilizną negacji.

I dlatego, gdy przyszło do jej artystycznego zrealizowania, siły nie sprostają zamiarom. Dzwon, rozkołysany na szczycie Wieży Babel, który miał obwieszczać narodziny nowej ery ludzkości, głucho zadzwieczał w próżni, jak podzwonne po umarłych. Zabrakło w nim serca. I dlatego nie mogliśmy współczuć ani tragicznym marzeniom Thompsona (p. Boelke), ani załamaniu się jego żony (p. Kuncewiczówna), ani tytanicznym wysiłkom Jeffriesa (p. Samborski). Spreparowane na zimno programowe tyrady, nawet w płomiennej interpretacji tego świetnego artysty, brzmiały, jak powinszowanie na imieninach komunizującej cioci, która, pomimo całej swej postępowości, nie mogła się wyrzec staromodnego kapelusika z paseistycznym piórkiem symbolizmu.

Schillerowska reżyserja, dekoracje Gronowskiego, celowo pozabawione horyzontu, wtopione w czarne tło próżni, wreszcie swiste operowanie światłami — zrobiły wszystko, aby wyolbrzymić mózgową fantasmagoryjność utworu. Precyzyjność opracowania szczegółów z całym nakładem środków technicznych, huku maszyn, świstu syren, grzmotu walących się gmachów, wycia rozszalałego tłumu, — była tak doskonała, że widz wychodził ogłuszony, moralnie zbity na kwaśne jabłko, z głębokim przekonaniem, że wbrew utartemu paradoksowi, poza muzyką istnieją jeszcze inne gatunki hałasu, za które trzeba płacić.

W drugim akcie, podczas trzęsienia ziemi, miało się wrażenie, że i autor i reżyser zmówili się na to, żeby wyczerpać całą skalę okropności, na jaką stać ludzką inwencję. Rezultat był ten, że zamiast grozy, wywołano obrzydzenie. A szkoda! Teatr Polski, to placówka zbyt poważna, aby rywalizować z „Grand Guignol'em“. Wystawienie „Wieży Babel“ było eksperymentem kosztownym, ale owocnym: pokazało dyrekcji i publiczności, czym jest „teatr w więzieniu“.

S. P. O.



Pogotowie sanitarne na prowincji

SIOSTRY REZERWY

Pojęcie siostry rezerwy jest u nas pojęciem nowym. Dotąd znaliśmy tylko siostry zakonne, siostry zawodowe i, w czasie wojny, siostry ochotnicze, kształcone ad hoc, jak się dało, i od razu wcielane w kadry pracowniczek. Dawało to rezultaty czasem świetne, czasem zgoła opłakane; trudno—à la guerre, comme à la guerre. Niezbędność kształcenia w czasie pokoju kadrów sióstr rezerwy, odpowiednio przygotowanych, zarówno pod względem praktycznym, jak moralnym, staje się wprost krzycząca, gdy sobie uprzytomnimy, że na sto pięćdziesiąt wykwalifikowanych sióstr niemieckich wypada jedna siostra polska. Cyfry mówią same za siebie. Nad tem, czem jest dla ducha armii dobrze zorganizowana pomoc sanitarna, rozwódzić się chyba nie potrzebuje.

Za kilkanaście, a może za kilka lat, odbycie praktyki sanitarnej będzie obowiązującym dla każdej kobiety, jak dziś odbycie powinności wojskowej obowiązuje każdego mężczyznę. Obecnie jest to jeszcze kwestja inicjatywy prywatnej i osobistego poczucia obowiązku społecznego. Kursa Sióstr Rezerwy, zorganizowane przez Polski Czerwony Krzyż, wypuszczają już trzeci turnus słuchaczek, które, po odbyciu praktyki w szpitalu wojskowym, przechodzą do rezerwy, gotowe stanąć do pracy na każde zawołanie.

Siostry rezerwy mobilizują się nie tylko na wypadek wojny: powódź, epidemia, zamieszki wewnętrzne i tym podobne klęski, wymagające wzmoczonej pracy sanitarnego, stają się terenem działania sióstr rezerwy.

Wykłady na kursach Cz. Krz. odbywają się wieczorem i uczęszczanie na nie wymaga dużego wysiłku dobrej woli. Jest to wyrzeczenie się na kilka miesięcy możliwości pójścia do teatru, do znajomych, dla kobiet

pracujących we dnie zarobkowo jest to, dająca się dotkliwie odczuć, nadwyżka zmęczenia. A jednak na kursach Cz. Krz. jest zawsze przepełnienie. Strojne wytwornisze zasiadają na szkolnych ławkach obok źle odżywianych, bladych szwaczuszek, dziewczęta prosto z pensji—obok kobiet, pochylonych wiekiem; nieraz widzi się matki i córki, pożyczające sobie wzajemnie notatki i rywalizujące ze sobą podczas egzaminów. Bo egzaminy, to nie byle co.

Podczas kilkumiesięcznego kursu trzeba ich zdać kilkanaście; a panowie profesorowie, nader dla słuchaczek uprzejmi i serdeczni, w dniu egzaminu stają się bardzo wymagający i niemal groźni. Błady strach pada na słuchaczki przed egzaminami z trudniejszych przedmiotów, np. przed egzaminem z anatomji i fizjologii. Gdzieś się podziewają pewne siebie studentki uniwersytetu, psotne, figlarne podlotki, dostojne matrony — zostają wystraszone, onieśmiałe pensjonarki — chcące zdać.

Wszyscy wykładowcy są członkami Cz. Krz. i wykładają bezinteresownie, a czynią to z takim przejęciem i oddaniem, tak się targują o dodatkowe godziny, że gdyby ich nie ograniczano, kursa trwałyby przeszło rok. Są między nimi poważni profesorowie, ordynatorzy szpitali miejskich, wyżsi wojskowi, traktujący słuchaczki z ojcowską poufałością, są przystojni, młodzi porucznicy, niezmiernie poważni, rzadko odrywający spojrzenie od czarnej tablicy, by je natychmiast przenieść na sufit, jakgdyby w zaciękwionych oczach słuchaczek tało się jakieś nieznane niebezpieczeństwo.

Oprócz uczęszczania na wykłady, kurs odbywa w towarzystwie swej opiekunki, czyli damy klasowej, (mającej z tą dorosłą sztabą niełatwe zadanie) wy-

cieczki. Wycieczka do filtrów miejskich, do zakładów dezynfekcyjnych i wreszcie, groźna wycieczka na Marymont dla zaznajomienia się z walką przeciwgazową. Można wysłuchać uważnie szeregu wykładów o chemicznym składzie gazów, ich działaniu i skutkach, sposobie rozprzestrzeniania się, oraz ich zwalczaniu, ale ten, co zobaczy, choćby tylko na rysunku, oko, porażone iperytem, długo nie będzie mógł zasnąć spokojnie. Oprócz podobnych budujących rysunków, przyszłe siostry oglądają na Marymoncie różne przedziwne instrumenty do wypuszczania gazów, ubrania ochronne, kilkadziesiąt typów masek, wreszcie, przywdziewszy maski, maszerują w szyku bojowym, bardzo nieszczęśliwe, do kamery, gdzie zostają wciągnięte kilku minut wystawione na działanie jakiegoś (niebardzo szkodliwego) gazu.

Nie obywa się bez pewnej złośliwości: pokazując ufnym niewiastom działanie dymów i świec bojowych, żołnierze puszczają bez uprzedzenia gaz łzawiący (bromek ksylilu, zwany popularnie „Bronkiem w cywilu”). Widok spłakanych rzęsiście siostrzyczek in spe, pudrujących naprędce zaczerwienione noski, jest wielce uciechny. Gościnni gospodarze Marymontu żegnają gości uprzejmem zapewnieniem, że na wojnie bywa znacznie gorzej. Pociuszające.

Nareszcie wszystkie egzaminy są zdane, kurs teoretyczny ukończony, rozpoczyna się praktyka. Z duszą na ramieniu, a fartuchem i czepkiem pod pachą, przestępuje nowa siostra progi szpitala, do którego została przydzielona. Ponieważ i w czasie pokoju sanitariat nasz nie może uskarżać się na brak zajęcia, więc praktykantki zostają kierowane tam, gdzie jest najwięcej roboty. Nieraz przyszła siostra rezerwy zostaje, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, wydelegowana na wydział... ginekologiczny. Protest nie na wiele się przyda — Ale... ja... przecie tylko na wypadek wojny... A legja kobieca... — brzmi kategoryczna odpowiedź. Wyrok jest bezapelacyjny. Oczywiście, że te siostry, którym przypadnie praca na pawilonach kobiecych, mają cięższy orzech do zgryzienia. Żołnierz, jest to łagodne i cierpliwe zwierzę, dające się kłuć i przewracać bez protestu. Kobieta, w dodatku chora i cierpiąca, jest z natury rzeczy bardziej grymasna. Zresztą nowa prak-



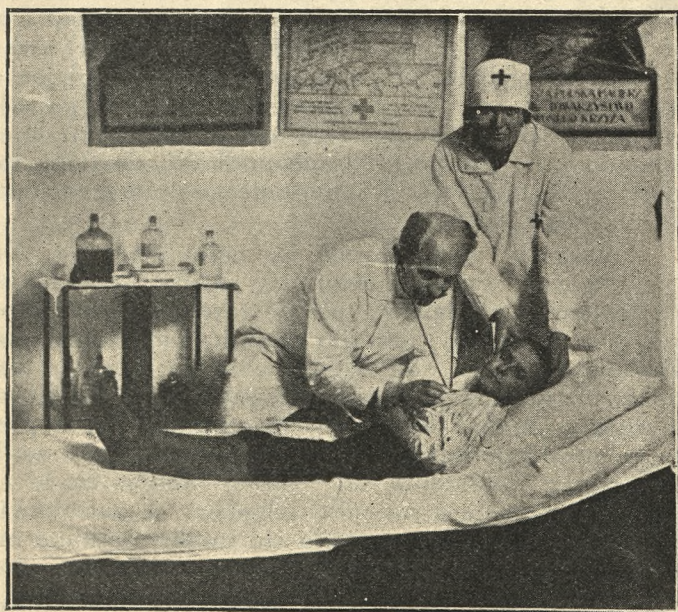
Niezawsze dorosli są pacjentami siostry rezerwy

tykantka, niepewna siebie i nieśmiała, nie budzi zrazu zaufania. Nieraz, zbliżając się do chorej, pełna chrześcijańskich zamiarów, słyszy takie dictum: — och, proszę siostrzyczki, może to już lepiej jakaś prawdziwa siostra zrobi. Na takie powiedzenie opadają bezradziejnie i tak już niezbyt pewne ręce, i dumna laureatka tylu trudnych egzaminów przekonywa się, że się musi wszystkiego uczyć w szpitalu na nowo.

Nieraz trzeba połknąć dławiące w gardle łzy, nieraz trzeba na pociechę przypominać sobie najszczytniejsze stronicę z „Etyki Siostry Miłosierdzia” aż przychodzi z pomocą wielka rzecz: Miłość Bliźniego, — rodząca się z nieustannego współczucia cierpieniu. Niepodobna opisać radości, z jaką się widzi stopniową poprawę chorej, przyjemności, jaką sprawia wracający na błądą twarz rumieniec, błyski zgaszonych niedawno oczu, wruszenia, z jakim się wspiera chwiejne pierwsze kroki istoty, dłuższy czas bezwładnej. Wtedy obojętnieje się na wszelkie złośliwe przy-mówki.

Następuje chwila uroczysta, w której praktykantka zostaje dopuszczona na salę operacyjną. Dzieje się to zwykle wskutek jakiegoś zamieszania, niespodziewanego przywiezienia większej ilości chorych, nieobecności którejś z zawodowych siostr itp... gdyż chirurdzy niechętnie widzą na sali operacyjnej nowe twarze. Mają rację. Nowicjuszka, drżąc ze wzruszenia i chęci okazania się pożyteczną, nie słyszy, lub nie rozumie zwróconych do siebie lakonicznych słów, wciąż wyciąga rękę do sterylizowanych instrumentów (czyn wysoce karygodny), wkońcu, nie mogąc znieść jęków... mdleje. Obudzenie się na kamiennej posadzce sali operacyjnej, z pochylonemi nad sobą twarzami szpitalnego personelu, jest jednym z najgorszych przeżyć w rozwoju kariery siostry rezerwy.

— Ładna panna — zemdlą! — Kiwa zgorszoną głową siostra chirurgiczna. Praktykantka, purpurowa ze wstydu, ucieka płakać do domu. Zdarza się, że się sam pan doktor zlituje i opowie maltretowanej siostrzyczce, jak to on, będąc studentem, zemdlął przy pierwszej operacji. Taka pociecha skutkuje: asystuje przy następnej operacji i już nie mdleje. Tak przechodzi się przez naj-



Siostra rezerwy asystuje przy badaniu chorego

ważniejsze oddziały szpitala, czując, że się jest naprawdę użyteczną. W dniu, kiedy ma wrażenie, że zaczyna coś umieć, praktykantka przechodzi do rezerwy. Nabyte wiadomości z zakresu pielęgniarstwa i higieny nieraz znajdują praktyczne zastosowanie w jej własnym życiu i jej najbliższych. Nieraz będzie wspominała z rozrzwieniem ciężkie i radosne chwile, przeżyte w szpitalu gdzie zastępują ją nowe, liczne praktykantki. Oby coraz liczniejsze.

Well.



ROLA SZTUKI W ŻYCIU

Wyraz „sztuka” jest zbiorową nazwą, oznaczającą bardzo różnorodne zjawiska barwne, dźwiękowe, ruchowe i t. d., działające na nasz umysł i nerwy za pośrednictwem wzroku i słuchu. Ażeby zjawiska te można było podciągnąć pod nazwę sztuki, muszą odpowiedzieć różnym warunkom: 1) muszą być koniecznie dziełem człowieka¹⁾, 2) muszą stosować się do ogólnych praw optycznych, psychicznych, nawet matematycznych (muzyka), które rządzą bądź zjawiskami światła i głosu, bądź życiem umysłem i uczuciem ludzi; wtedy dopiero, bowiem, mogą zaspokoić w nich potrzebę piękna, polegającą głównie na zadowoleniu, sprawianem przez harmonję i ład, (słowo „ładny” pochodzi od „ładu”); muszą być dla człowieka zrozumiałe i działać wzruszająco na jego ośrodki nerwowe.

Czem jest, bowiem, sztuka dla nas? Na czym opiera się nasz stosunek do niej? — Jest ona sumą wrażeń i podniet, umiejętnie wybranych przez nasz umysł ze świata zewnętrznego.

Wkoło nas istnieje nieprzeliczona ilość linii, płaszczyzn, brył, kolorów i ich zestawień, dźwięków, słów, myśli, pojęć i t. d. Jedne z nich mają tę właściwość, że sprawiają ludziom wielką przyjemność zawsze i wszędzie — inne oddziałują tylko w pewnych warunkach; niektóre są ludziom obojętne, niektóre, wreszcie, są dla nich zdecydowanie przykre, bolesne, lub wstrętne. Zawsze, od najdawniejszych czasów, człowiek okazywał zdolności wyławiania miłych mu form z chaosu otaczających go zjawisk, przetwarzania form zewnętrznych według swej woli i wrodzony mu pęd do samodzielnego posługiwania się formami otaczającego go świata, w wypowiedzaniu swych stanów psychicznych. Czyni to człowiek niezależnie od wszelkich utylitarnych względów. Jaskiniowiec zdobił swe groty i narzędzia walki rysunkami, jakkolwiek ozdoby te nie przyczyniały się w najmniejszej mierze do zwyciężenia wroga (przynajmniej pod względem fizycznym). Dzicy, nam współcześni, oddają cenne futra i surowce za świecidlą i perkale, będące dla nich niezawodnie wybitnymi dziełami sztuki.

¹⁾ Przyroda nie jest dziełem sztuki, choć jest cudownie piękną. Charakterystycznym jest, że przez sztukę rozumiano w ciągu długich wieków wogóle czynności ludzkie, wymagające ćwiczenia umysłowego i fizycznego. Sztukami wyzwolonemi nazywano w średniowieczu wszelkie nauki, — jak: matematykę, astronomję, filozofję, — należała tu też poezja i retoryka. Malarstwo i muzyka były rzemiosłami wówczas — gdyż były pracą zarobkową.

Jeśli zatem uprzytomnimy sobie dokładnie, że sztuka — nie będąc potrzebną do utrzymania życia — istnieje, mimo to, we wszystkich epokach ludzkości i na wszystkich stopniach kultury, musimy dojść do przekonania, że jej potrzeba jest ludziom wrodzona równie silnie, jak popęd do wiedzy i wynalazków, lub — w sferze fizycznej — popęd do jedzenia. Zrozumienie tego doprowadza do wniosku, że sztuka nie może być tylko ozdobą życia, naddatkiem i luksusem, wymyślonym dla zabawki bogatych, ale że jest jednym z istotnych składników życia. Brak jej — zanik jej kultury jest pewną anormalnością człowieka, czy społeczeństwa; jest dowodem, że w ich rozwoju powstały luki.

Gdyby ktoś rozpiął ankietę na pytanie: poco istnieje sztuka? i jaką rolę odgrywa w życiu? (ankieta taka byłaby niezmiernie interesującą) odpowiedziałabym, że, według mego zdania, sztuka odgrywa w życiu ludzi rolę trojaką: 1) istnieje ona dla przyjemności ludzi; 2) jest dla nich środkiem wypowiedzania swych uczuć, pragnień i dążeń, jest wyrażeniem ich stosunku do wszechświata (do Boga, Ojczyzny, natury, ludzi i t. d.); 3) jest, wraz z wiedzą, nieustannem poszukiwaniem i zdobywaniem tajemnic, lub zagadek wszechświata.

Pierwszy typ bywa często prymitywem, lub surrogatem sztuki; trzeci typ — to szczyty sztuki, osiągnięte przez genialnych ludzi; drugi typ — to całe morze przejawów artystycznych, zalewające ziemię. Pragnęłabym zatrzymać się na pierwszym i drugim typie sztuki, gdyż przedewszystkiem te objawy są dla kultury miarodajne; tam, gdzie one istnieją i są wysoko rozwinięte, genjusze wyrastają sami, jak kwiaty i owoce na dorodnych drzewach.

Ogromne masy ludzi ograniczają się do zupełnie prymitywnego reagowania na zjawiska, będące radością dla wzroku i słuchu, lub zabawą dla umysłu, — zjawiska, będące dla sztuki niejako surowym materiałem, czekającym przerobienia. Radość z tych zjawisk jest wspólną wszystkim, jest czemś zupełnie naturalnem i wrodzonym człowiekowi; ten, jednak, kto ogranicza się jedynie do niej, nie tworzy, ani nie pomaga tworzyć sztuki — żyje pod tym względem bezmyślnie. Mówię tutaj o takich „przeżyciach” — o ile można je tak szumnie nazwać — jak przyjemność, doświadczana z powodu kolorów, blasku, dźwięków, rytmu i t. p. Któż nie cieszy się cudnymi barwami kwiatów? Któż z nas — kobiet — przejdzie obojętnie koło wystawy, pełnej różnokolorowych jedwabi, i nie podda się uczuciu rozkoszy na widok rozłożonej tęczy barw? Jakże jest mało ludzi, odpornych na urok blasku drogich kamieni? Cała gałąź przemysłu, związana z niemi, cała masa namiętności i zbrodni, ma za jedyne źródło rozkosz, sprawianą oczom ludzkim przez blaski i tęcze drogich kamieni, pereł i złota. Czy jest w tem coś więcej, ponad ten pierwotny, niezwalczony urok, tak bardzo dziwny — bo wspólny, zarówno najdzikszyemu plemionom, jak najkulturalniejszemu, najwytworniejszemu przedstawicielowi rasy ludzkiej? To samo, zresztą, zamiłowanie blasku każe muryzynom zdobić się paciorkami, a nam — wyszywać suknie dżetami, pailletami i t. p.

W dziedzinie słuchowej mamy te same objawy; lubimy dźwięk dzwonka, gongu, bicia zegara, lubimy głos dźwięczny, „metaliczny”, brzęk szkła, szmer wody; połowa muzyki jazz-bandowej polega na podniecaniu się różnego rodzaju hukami, świstem, brzękiem i hałasem.

Lubimy, wreszcie, rytm; poczucie tego, bądź co bądź już wyższość, bo organizującego, zjawiska jest podstawą i niezbędnym składnikiem wszelkich sztuk. W swych prymitywnych objawach występuje on, jako przyjemność kołysania się, lub maszerowania; ponadto, na podstawie rytmu wiążemy bezładne ruchy w taniec, bezładne dźwięki w marsz w muzykę taneczną, bezładne linje i plamy kolorowe układamy w ornament, prozę układamy w wiersz, kupę drzewa, kamieni i cegieł zamieniamy w budowlę, w których zawsze jest wiele rytmu. W dziedzinę impulsów wkracza organizujący rozum i przetwarza surowy materiał barw i dźwięków na zamknięte w sobie dzieła. I tu zaczyna się sztuka.

Czasem jest ona obliczona wyłącznie na zabawę i podniecanie zmysłów (farsa, operetka, cyrk, kabalet, balet — lalki i figury, kwiaty sztuczne, pstre poduszki — ktoby, zresztą, wyliczył te wszystkie drobiazgi, które umilamy sobie życie). Wtedy jest sztuką dla przyjemności. Czasem zaś jest potężnym środkiem do wyrażania uczuć i przeżyć duchowych; wtedy kształtuje się według kultury, temperamentów, charakterów ludzi, którzy ją tworzą, zależy od kierunków religijnych i filozoficznych, nurtujących społeczeństwo w danym okresie.

Historja sztuki jest tego nieustającym dowodem. Wiemy przecież, że prymityw starochrześcijański powstał na tle średniowiecznej pogardy dla wszystkiego, co ziemskie, a nieustannego wysiłku do zlania się z Bogiem, na tle ascezy i mistycznych ekstaz. Naturalnym wynikiem takiego sposobu myślenia było lekceważenie form zewnętrznych, które rysowano niedołącznie, starając się wydobyć wyłącznie wrażenie potęgi bożej — ludzkiej pokory i oddania się.

Wiemy tak samo, że Holendrzy byli w XVI i XVII wieku narodem bogatym, o charakterze wesołym, wcale nie subtelnym, że lubili dobrze zjeść, wypić, ubrać się i zabawić; mamy też to wszystko zamknięte w ich bujnej, a rubasznej sztuce z tej epoki.

Wiemy równie dobrze — po jakiej linii poszła sztuka polska, sztuka Matejki, Grottgera, Malczewskiego, Wyspiańskiego, Chopina i wszystkich poetów, czy powieściopisarzy naszych. Była ona wyrazem bólu i tęsknoty za wolnością, idealizowaniem przeszłości, hołdem dla męczenników, ginących za ojczyznę, czy też wreszcie, drogowskazem na przyszłość.

Możemy więc nazwać sztukę — dla dosadnego zobrazowania mej myśli — nieustającą ilustracją kultury charakterów ludzkich. Możemy zrozumieć, że popularny podział sztuki na wielką i małą, czystą i stosowaną, wzniosłą i frywolną, powstał na podstawie wiążących się z nią stanów psychicznych, nisko, lub wysoko przez nas cenionych, na podstawie pospolitych, lub wzniosłych celów, jakie przez dane dzieło osiągnąć chcemy, wreszcie, dzięki większej, lub mniejszej interesowności, jaką się w tworzeniu przedmiotów kierujemy.

Klasyfikacji tej nie można, jednak, uogólniać, twierdząc, że tragedia musi być większym dziełem od komedji, a obraz sztalugowy od polichromji, gdyż wartość istotną stanowi talent twórcy i siła oddziaływania na widzów. Uogólniania takie zaś zdarzają się często, ze szkodą dla sztuki i społeczeństwa.

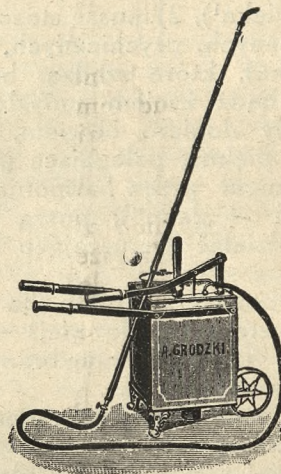
Marja Zawadzka.



BRZYDKIE OWOCE

Najbardziej rozpowszechnionym preparatem miedziowym jest ciecz bordoska, składająca się z siarczanu miedziowego i wapna w równych częściach, zwykle używana w stosunku 1%-ym, t. j. kilo każdego z tych składników na 100 lt. wody miękkiej. Ale żeby ciecz bordoska była dobra, trzeba posiadać dobre składniki, więc siarczan miedziowy wolny od żelaza, a wapno wolne od kamieni i innych zanieczyszczeń, wpływających na reakcję, świeżo sproszkowane. Trzeba za każdym razem badać, czy ciecz nie wykazuje reakcji kwaśnej. Trzeba ją zużyć tego samego dnia, ponieważ wapno szybko przechodzi w gips i tworzy grudki, których aparat nie przepuszcza.

Dlatego wygodniejszy w użyciu jest preparat w postaci proszku łatwo rozpuszczalnego, o jednostajnym zawsze składzie chemicznym, zawsze gotowy do użytku. Preparatem tym jest Arbosan, środek wyrobu krajowego*), znajdujący się na składzie we wszystkich firmach ogrodniczych i poważniejszych składach materiałów aptecznych.



OPRYSKIWACZ „APOLLO” z własnym zbiornikiem. Nadaje się do dużych sadów i wysokich drzew. Może służyć również do bielenia całych drzew, a nawet zabudowań, mlekiem wapiennym.

(Do nabycia w firmie Bronikowski, Grodzki i Wasilewski).

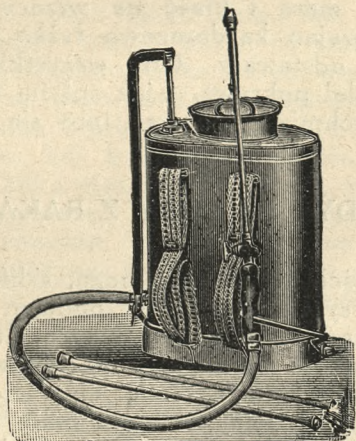
Dzięki odmiennemu składowi chemicznemu, Arbosan trzyma się na liściach dłużej, niż ciecz bordoska, a więc działa skuteczniej, i nie osadza gipsu w postaci białych plam, osłabiających asymilację. Dzięki lepszemu przyleganiu, można Arbosanem spryskiwać rzadziej, niż cieczą bordoską, i nawet w czasie dżdżystym zawiesina czynna nie tak łatwo ulega spłókanui przez deszcz.

Arbosan, nie zużyty zaraz po rozpuszczeniu, nie traci wartości, gdyż może stać w postaci roztworu parę tygodni bez żadnej szkody. W stanie suchym jest zupełnie trwały.

Do zraszania trzeba używać nie szpryc, opatrzonych sitkiem, lecz aparatów, dających rozpył idealny, mgławicowy. Jeżeli na powierzchni liści tworzą się

*) Wytwórni preparatów chemicznych do celów ogrodniczych Stan. Schönfeld i inż. chem. D. Tyborowski, Warszawa, Marszałkowska 53.

krople, to ściekają one na ziemię i porywają za sobą składniki czynne. Tymczasem ciecz, rozpylona na mgłę, na liściach natychmiast zasycha i pozostawia subtelny nalot zawieszyny, zabójczej dla grzybka. Naturalnie, przy racjonalnem opryskiwaniu, zużycie cieczy jest znacznie oszczędniejsze, więc i nakład na chemikalja o wiele mniejszy.



OPRYSKIWACZ TORNISTROWY „VEGETA” nadaje się do młodych sadów, szkółek, róż, plantacji krzewów jagodowych.
(Do nabycia w firmie C. Ulrich).

Im silniej grzybek występuje, im lato więcej obfituje w opady, sprzyjające rozwojowi grzybka, tem częściej zraszać należy.

Pierwsze zraszanie powinno być wykonane pomiędzy rozwinięciem się pierwszych listków, a otwarciem się pączków kwiatowych. Jednak w praktyce uchwycenie właściwej pory jest niezmiernie trudne, bo albo deszcze padają, albo wiatry, czy inne powody stają na przeszkodzie wykonaniu zraszania. To też najczęściej wypada czekać, aż drzewa przekwitną. Potem, mniej więcej w odstępach dwutygodniowych, należy zraszanie powtarzać jeszcze dwa, albo trzy razy. Przy odmianach letnich trzeba zraszania zaprzestać na miesiąc, lub 6 tygodni przed zbiorem, żeby deszcze zdążyły spłókać osad miedziowy z naskórka owoców.

Jeżeli w sadzie pojawiają się gąsienice (liszki), to do Arbosanu można dodać drugiego preparatu, Larvinu, który pokrywa powierzchnię liści nalotem silnej trucizny. Szkodniki, pożerające liście, zroszone roztworem Larvinu, ulegają zatruciu.

Nasuwa się teraz pytanie, czy zabiegi te się opłacają?

Odpowiedzmy znowu rachunkiem.

Kilo Arbosanu, z którego możemy przyrządzić 100 litrów cieczy, kosztuje zł. 5.50. Taka ilość roztworu, przy prawidłowem wykonywaniu zraszania, wystarczy na jednorazowe opryskanie około 30 drzew średniej wielkości. Zatem, wraz z robocizną, jednorazowe skropienie jednego drzewa kosztuje około 20 groszy. Czterokrotne zroszenie — 80 groszy. Doliczmy jeszcze 10 groszy na amortyzację aparatu i kosza nieprzewidziane, a otrzymamy koszt 90 groszy. Ponieważ w obliczeniu strat przyjęliśmy cenę kilograma owoców na 30 groszy, więc przyrost 3 kg. pokrywa koszt czterokrotnego zraszania drzew Arbosanem, wystarczającego zupełnie nawet przy silnem występowaniu zarazy.

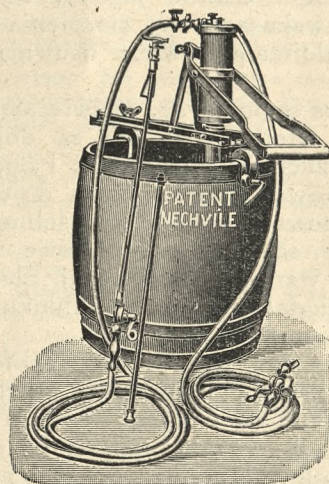
Tymczasem przyrost wartości plonu będzie znacznie większy, bo nietylko zmniejszy się ilość opad-

ków, ale i inne owoce wykształcą się lepiej, wyrosną czyste, dorodniejsze, więc osiągną wyższą cenę przy sprzedaży, albo dadzą większe zadowolenie przy zużyciu na własną potrzebę.

Arbosan jest środkiem skutecznym nietylko na czarny grzybek na jabłoniach i gruszach.

W Nrze 4 pisma „Przegląd Ogrodniczy” opisuje Kierownik wydziału chorób roślin Państw. Instytutu Naukowo - Rolniczego w Bydgoszczy (dr. L. Garbowski—„Opadlina liści porzeczek”) doświadczenia, wykonane w tym Instytucie ze zwalczaniem grzybka, wywołującego przedwczesne opadanie liści z tych krzewów. Czytamy tam, co następuje:

„Znakomitym środkiem okazał się Arbosan, preparat miedziowy, wytwarzany u nas w kraju. Krzewy były spryskane 1% roztworem Arbosanu trzykrotnie: 20 i 27 maja i 15 czerwca. Wynik tego spryskiwania widoczny był na dwóch krzewach tej samej kultury, rosnących w zupełnie jednakowych warunkach i jednakowo narażonych na porażenie grzybką Gleosporium ribis, który występuje u nas corocznie. Wszystkie krzewy niespryskiwane, pozostawione w różnych miejscach plantacji dla porównania i jako rozsadniiki grzybka, były zupełnie pozbawione liści, jak w zimie — wszystkie zaś, spryskane Arbosanem, zachowały swe liście bez straty”.



OPRYSKIWACZ „UNICUM” do umocowywania na dowolnej beczce lub kądzi. Nadaje się do dużych drzew i rozległych sadów, gdyż beczkę można postawić na wozie i jeździć z nią po ogrodzie. Jest wyposażony w dwa węże, zakończone rozpylaczami.

Taki sam aparat „Unicum”, lecz nieco mniejszy, może być osadzony na lekkim przenośnym trójnogu i czerpie ciecz z dowolnego naczynia.

(Do nabycia w firmie C. Ulrich).

Niemniej skuteczny okazał się Arbosan przy zwalczaniu pleśni na różach (mączniak, czyli rosa mączna.) Ten grzybek opanowuje wierzchołki pędów i listki, pokrywa je białym z początku, później brązującym nalotem, pod którego wpływem pączki kwiatowe zamierają. Szczególnie cierpią od tego róże pnące (Crimson Rambler, Maréchal Niel i t. p.) narażone na silną operację słoneczną. Już dwukrotne zroszenie zapobiega skutecznie zamieraniu pączków, i krzewy pokrywają się mnóstwem przepięknego kwiecia.

Takie same wyniki dały próby ratowania Arbosanem złocieni, opanowanych przez grzybek.

Stan. Schönfeld.

O KURACYJNEM I KOSMETYCZ- NEM ZNACZENIU OWOCÓW

W dawnych przepisach, służących do upiększenia cery, główną rolę grały kwiaty, rośliny i owoce. Dziś wracamy znów do przepisów, zalecających głównie owoce: przedewszystkiem zaznaczamy dobroczynne działanie na cerę truskawek, któremi dobrze jest nacierać twarz na noc; z równym skutkiem można użyć sok, wyciśnięty z pomarańczy, lub winogron, sok cytrynowy znakomicie wybiela ręce, czyści cerę, usuwając plamy, pryszczki i liszaje; użyty do płókania ust, wybiela zęby i stanowi doskonałą dezynfekcję ust; sok cytrynowy, dodany do czarnej kawy, jest wyborynym środkiem przeciw migrenie; gorący odwar cytryny jest wskazany przy nerwowych zaburzeniach; sok pomarańczy ma te same własności, co cytryny — wysuszone skórki pomarańczy mogą być zaparzane, jak herbata, stanowiąc dobry środek na kaszel i febrę; nareszcie wiemy, że cytryna posiada własności lecznicze w cierpieniach przemiany materji. Kuracja cytrynowa jest bardzo rozpowszechniona i niczem nie ustępuje kwasowi salicylowemu, lub aspirynie, nie wywołując ubocznego działania na żołądek, nerki i serce; najwłaściwiej pić sok z cytryny w $\frac{1}{2}$ lub godzinę po jedzeniu. Czarne jagody, właściwie odwar z nich, jest wskazany w cierpieniach błon śluzowych. Jabłka dojrzałe i świeże usuwają kwas moczowy z krwi.

Winogrona są pożywne, odświeżające i oczyszczające krew, ale wtedy tylko, gdy są dojrzałe; kuracja winogronowa zachowuje młodość i dodaje sił, znana już była Rzymowi. Gruszki należą do owoców ciężkostrawnych, zaleca się umiarkowane ich użycie. Migdały, o ile są świeże, są mało wartościowe, dopiero z czasem nabierają wartości spożywczej. Elegantki 18 wieku używały migdałów w postaci mleka z wodą różaną jako środka kosmetycznego.

Znakomity profesor Jaffa z Kalifornji jest zdania, iż orzechy mają największą wartość odżywczą wśród owoców. Z racji swego ustroju (Concentraed nature) posiadają wysoką zawartość proteiny, dużą ilość oleju i sole mineralne, doktor Jaffa skonstatował również obecność witaminy B.; można zatem uważać orzechy, jako źródło energii, gdyż mają działanie krzepiące.

S. S.



ROSÓŁ Z CHIŃSKIMI KLUSKAMI

Jestem głęboko przekonana, że takich klusek w Chinach nigdzie nie znają, ponieważ jednak świetna gospodyni, która mi tego przepisu użyczyła, podała taką nazwę, zachowuję ją nadal. Cztery bułeczki namoczyć w wodzie (bułeczki, mające około 40 grm.

wagi, to jest zwykle warszawianki). Sporą łyżkę masła rozpuścić w rondelku, bułeczki wycisnąć, pokruszyć drobno i przesmażyć w tem masle. Przełożyć do miski, ostudzić zupełnie. Utrzeć dokładnie drewnianą łyżką, dodać dwa żółtka, dobrą łyżkę mąki, osolić, popieprzyć białym pieprzem, utrzeć i dodać nieco gałki muszkatołowej, wyrobić doskonale. Przed samym obiadem dodać ubite na sztywną pianę białka, wymieszać z masą i kłaść na wrzący rosół kluski nieduże, maczając każdorazowo łyżkę w rosole, aby kluski łatwo odstawały. Gdy wszystkie spuszczone, przykryć rondel pokrywą, — jak spłyną do góry — gotowe; — natychmiast podawać, aby się nie rozpadły.

BUDYŃ RYŻOWY Z RAKAMI

Dwadzieścia deka najlepszego, szlifowanego ryżu ugotować na sypko na wodzie, dodając łyżkę masła i dać wystygnąć. Dwadzieścia dużych, lub trzydzieści mniejszych raków ugotować w mocno osolonej wodzie z zielonym koperkiem i cebulą. Oczyszczyć szyjki, nóżki i wnętrzości, odrzucając długie, białe kiszeczki i pęcherzyk czarny około głowy. Skorupki jaknajdrobniej utłuc, dodać dwie dobre łyżki masła, zasmażyć razem, poczem zalać rosołem mięsnym, lub, w dzień postny, smakiem z jarzyn, i gotować tak długo, aż całe czerwone masło na wierzch wypłynie. Szyjki przechować, nóżki i wnętrzości utłuc drobno, wymieszać z ryżem, dodać cztery żółtka, sporą garść drobno usiekanego zielonego koperku, wlać kilka łyżek rosółu, w którym się gotowały skorupki, połowę rakowego masła, osolić do smaku, — kto lubi, może dodać nieco gałki muszkatołowej, — mnie osobiście to się nie podoba. Wymieszać doskonale całą masę, dodać ubite na sztywną pianę białka, wymieszać ostrożnie. Formę budyniową wysmarować masłem, wysypać sucharkiem, włożyć masę budyniową, zakryć pokrywą i gotować na parze nie mniej, niż godzinę. Tymczasem z reszty rakowego masła, sporej łyżki mąki i smaku, wygotowanego z rakowych skoruppek, zrobić obfity sos, dodać zielonego koperku i pół szklanki dobrej, kwaśnej śmietany, zagotować razem, włożyć w sos szyjki rakowe, zagrać razem mocno, lecz nie gotować, gdyż szyjki, powtórnie gotowane, twardnieją. Budyń wyłożyć na półmisek, połać częścią sosu z szyjkami, resztę podać w sosjerce.

PASZTET Z CIEŁĘCINY

Trzy szklanki mąki, dwadzieścia deka masła tłustego, lub świeżego szmalcu i tyle zimnej wody, aby ciasto dało się zagnieść i rozwałkować. Nie zapomnieć o łyżeczce soli, — ciasto po zrobieniu pozostawić parę godzin na chłodzie. Sześćdziesiąt deka cieleciny od forszlaku z nereczką (licząc wagę już bez kości), udusić w łyżeczce masła i ostudzić. Tyleż wątróbki cielecej udusić z dużą cebulą, listkiem, pieprzem, osolić już gotową. Wątróbkę utrzeć na tarce, lub przepuścić przez maszynkę, dodając też samą ilość słoniny gotowanej odszynki i bułeczki, wymoczonej w mleku, dodać sos z cebulą, w którym się dusiła wątróbka, dwa jaja i utrzeć masę doskonale. Cielecinę wraz z nereczką pokrajać na cienkie plastry. Foremkę specjalną pasztetową, lub też keksową, podłużną wyłożyć kruchem ciastem, położyć rząd far-

szu, rząd cielęciny, przekładając, aż się foremka napelni, ostatni rząd powinien też być z farszu, zasklepić zρέcznie kruchem ciastem i upiec w średnio-góracym piecu, trzymając w nim około godziny. Z pozostałych od cielęciny kostek ugotować parę szklanek rosółu, dodając pietruszki, marchewki, listek, pieprzu i soli. Łyżkę masła zasmażyć na rumiano z łyżką mąki, rozprowadzić tym rosółem do gęstości zwykłego sosu, wlać łyżkę octu, lub wcisnąć sok z cytryny, dodać trochę cukru do smaku, jeśli nie dosyć rumiany, zakolorować karmelem, osolić do smaku. W gotowym już pasztecie zrobić nieduży otwór u góry i wlać weń kilka łyżek tego sosu. Do reszty dodać garść kaparów, lub kilka korniszonów, pokrajanych w paski, lub kilka plasterków cytryny, zagotować raz i podać w sosjerce. Pasztecik ten, pozostawiony na zimno, jest również bardzo smaczny; sos gorący jest wtedy zbyt dobry, natomiast wlewa się do środka szklankę rosółu z rozpuszczonymi w nim dwoma listkami żelatyny.

KREMIK ŻÓRAWINOWY

Do szklanki czystego soku z żórawin dodać dwie szklanki wody, wlać w rondel, dodać skórkę otartą z cytryny, lub pomarańczy, niepełną szklankę cukru, zagotować raz, rozpuścić w tem trzy listki żelatyny, wpierw wymoczonej w zimnej wodzie, następnie włożyć trzy czubate łyżki kaszki miannej i, wciąż mieszając, gotować na wolnym ogniu, aż się kaszka zupełnie rozgotuje, a nawet rozklei. Wylać na miskę dać przestygnąć nieco, ubijać trzepaczką tak długo, aż zbieleje i zamieni się w pianę. Gdy zaczyna stygnąć, dodać sztywną pianę z trzech białek, wymieszać lekko i wyłożyć na salaterkę. Wynieść na chłód na 2—3 godziny, poczem można już podawać. Ubrać po wierzchu konfiturami i wkoło obłożyć lekkimi biszkopcikami. Taki sam kremik można robić z truskawek, poziomek, porzeczek, malin, a nawet soku pomarańczowego, zastępując w ostatnim wypadku skórkę cytrynową skórką pomarańczową i ubierając smażonymi pomarańczami, lub skórkami pomarańczowymi po wierzchu.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Chcąc, aby rafja, z której mamy robić szydełkiem, była miękka i niełamiwa, trzeba, podzieliwszy ją na nitki odpowiedniej szerokości, moczyć pół dnia w wodzie z gliceryną, biorąc na 4 części wody jedną część gliceryny, a następnie suszyć powoli w cieniu, zdala od gorącego pieca.

* * *

Ogólnem mniemaniem jest, że plamy zbutwiały nie dadzą wyprać się z bielizny. Otóż tak nie jest. Bieliznę trzeba wypierać w wodzie mydlanej z trochę potaszu, tak aby śliska była, a plamy znikną zupełnie. Można też wziąć dwie garście soli kuchennej i jedno deka salmiaku, rozpuścić w gotującej wodzie i, polewając tym roztworem plamy, bielić je na słońcu, tak jak się bieli płótno, a znikną bez śladu.

KORESPONDENCJE

Pani J. J. Bydgoszcz. Batyst, przysłany przez Sz. Panią, zwany organdyą, nigdy nie zmieknie: jest to materiał, robiony z tak zwanej szklanej nitki i pomimo prania sztywność zachowuje zawsze. Co do ażurów, błąd leży w tem, że Sz. Pani nie trzyma się prostej linii, robiąc skośne ścięgi. Można, ucząc się, dobrze było narysować 2 linijki, w których środku ścięgi ukośne byłyby robione?

P. J. K. Łopienno. Nie wiem, o jakie cerowanie chodzi Sz. P. Proszę o bliźsze informacje—czy to ma być poszywanie siatki tiulu, czy też reperacja, „Bluszcz” wysłamy.

Czytelniczce M. T. — Szkoła. Woj. Lubelskie. Z całą serdecznością chciałabym Pani pomóc w wyszukaniu jakiejś odpowiedniej posady. Nie znając, jednak, Pani kwalifikacji, zamiłowania, warunków, trudno jest coś skutecznie poradzić. W Warszawie jest mnóstwo kobiet, szukających pracy, wskutek czego jest i olbrzymia konkurencja na tem polu. Sądzę, że najlepiej byłoby dla Pani nauczyć się jakiegoś fachu, choćby z zakresu zdobnictwa, które jest nietrudne i nawet dobrze płatne, jak n. p. kilimkarstwo, batikowanie, haft, lub inne tym podobne. Otrzymanie posady biurowej, lub nauczycielskiej dla osoby, nie mającej należytej rutyny, jest fizycznym niepodobieństwem. Dlatego też radziłabym pani nauczania się fachu, chociażby tak popularnego, jak szycie, kapełusznictwo i t. d.

Wprawdzie z tych zawodów wykwalifikowanych sił jest również bardzo wiele, lecz każda zdolna i pracowita siła znajduje pracę. Do pielęgnacji chorych trzeba być należycie wykwalifikowaną i uzdolnioną.

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Pani Z. C. Wolica. W wypadkach, o jakich Sz. Pani wspomina, zwykle tylko kwasy sztuczne są wzbronione. Uważam jednak, że choroba, o której Sz. Pani wspomina, jest za poważna, aby można traktować ją po dyletancku. Dlatego radzę Pani zwrócić się do lekarza i prosić o wypisanie potrzebnej diety.

Zmartwionej. Włosy usunąć można jedynie nastaje elektrolizą, lub diatermją. Zabiegi uciążliwe, na jedno posiedzenie 12 włosów zwykle udaje się usuwać. Proszę więc obliczyć sobie, ile zabiegów będzie potrzebna. Wszelkie depilatory, jak słusznie Pani wspomina, działają tylko chwilowo.

Jagania. Na pytania, zawarte w liście, trudno jest dać również wyczerpującą odpowiedź. Proszę przeczytać książkę „Piękność i Zdrowie w Życiu Kobiety”, tam jest podany masaż kosmetyczny wyczerpujący, oraz pielęgnowanie biustu. Również wyjaśnienie diatermji. Co do rąk, wydelikatnia „Mój Krem do Rąk” 3 zł. Do mycia włosów jajeczka, po myciu niemi nie tłuszcza się włosy, i szybko łupież usuwa się.

J. M. wieś. Spróbować naświetlaniem leczyć włosy. Obcięcie włosów nie wpływa na wzmocnienie — tylko pośrednio udostępnia przepływ powietrza i łatwiej jest myć i pielęgnować.

OD 1 CZERWCA ZACZNIE WYCHODZIĆ BOGATO
ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK P. T.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

Każdy zeszyt stanowić będzie oddzielną całość i da sposobu wykonania najnowszych rodzajów robót kobiecych oraz wzory naturalnej wielkości.

TRZY PIERWSZE ZESZYTY PRZYNIOŚ:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIEN — aplikacja, haft, liworyzacja.

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widełkach.

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

CENA ZESZYTU 2 ZŁ.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

Nauczycielce. Porady można udzielić kosmetycznej natury, lecz nigdy leczniczej. Liszaj na głowie nie może być leczony na odległość. Lekarz na miejscu środki przepisał dobre, może były stosowane nieodpowiednio, lub za krótko.

Czytelniczce z Woj. Kieleckiego. Na łupież proszę stosować „Mój Środek na łupież” do mycia włosów „jajeczka.” Na artretyzm proszę przeczytać ogólną odpowiedź „Artretyzm.”

Do mycia twarzy na miednicę letniej wody dodać łyżeczkę gliceryny i boraksu.

Głęboka powojna. List Pani wyczerpujący otrzymałam; jeśli cierpienie skórne trwa 2 lata i, pomimo leczenia, nie ustępuje, musi być poważna przyczyna w organizmie, na którą absolutnie bez badania skutecznego środka polecić nie można. Z opisu nie można się zorientować, z czym się, właściwie, ma do czynienia.

Sosnowiec. Pasta „Taky” działa tylko chwilowo na usunięcie włosów, nie jest gorsza od innych depilatorów. Skóry zdrowej i normalnej nie powinna zadrażniać. Jeśli skóra jest chora i delikatna, to każda pasta depilatorska musi ją zadrażnić. Najlepiej wypróbować na małym odcinku. Bardzo często liszaje, zwłaszcza pod pachami, są skutkiem często stosowanych past depilatorskich. Każdy środek, niszczący włosy, musi zawierać ostre składniki, inaczej nie będzie działać.

Czytelniczkom „Bluszczu.” Proszę czytać wszystkie odpowiedzi kosmetyczne „Bluszczu,” aby uniknąć niepotrzebnego powtarzania. Z powodu olbrzymiej ilości listów, identyczne odpowiedzi są umieszczane w ogólnych odpowiedziach.

Cierpliwej. Poruszone przez Sz. Panią zagadnienie seksualne, jest istotnie bardzo ciekawe, lecz nie nadaje się do odpowiedzi na łamach „Bluszczu.” W najkrótszym czasie ukaże się książka Dr. J. Świtalskiej omawiająca życie współczesnej kobiety — od dzieciństwa do starości; tam też odpowiedź na Pani zagadnienie będzie umieszczona. Tytuł książki: „Kobieta Nowoczesna”, cena 6 zł.

Wszystkie Czytelniczki korespondujące z nami we wszystkich działach, szczególnie zaś w dziale kosmetyki, są proszone o dokładne podanie nazwiska i adresu, oraz znaczka pocztowego na odpowiedź. Żadne listy anonimowe załatwiane nie będą.

* * *

Stosownie do rozporządzenia Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z dnia 16 lutego 1927 r., ustalony jest nowy Statut Państwowego Seminarjum Nauczycielek Gospodarstwa w Warszawie.

Seminarjum ma za zadanie przygotowanie nauczycielek gospodarstwa domowego. Obejmuje ono działy:

Gotowania, pieczenia ciast, przetworów owocowych i mięsnych, szycia i reperowania, prania i prasowania, pielęgnowania dzieci, oraz szkołę ćwiczeń.

Na czele seminarjum stoi Dyrektor, Rada pedagogiczna, złożona z nauczycieli i nauczycielek tego zakładu, oraz Rada opiekuńcza, którą stanowią: Dyrektor Seminarjum, nauczyciel, wybrany przez Radę Pedagogiczną, oraz 4-ry osoby, mianowane przez Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publ.

Na pierwszy kurs Seminarjum mogą być przyjmowane kandydatki, które:

1. Posiadają zdolność fizyczną do zawodu nauczycielskiego.
2. Mają nie mniej, niż 17 i nie więcej niż 26 lat skończonych.
3. Przedstawią świadectwo z ukończenia średniej szkoły zawodowej, liceum, lub 6-ciu klas gimnazjum.

Oplatę za naukę określa oddzielne rozporządzenie Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Nauka trwa trzy lata; w razie potrzeby otwiera się kurs wstępny. Świadectwo z Seminarjum jest warunkiem dopuszczenia do egzaminu na nauczycielkę gospodarstwa domowego w żeńskich szkołach zawodowych.

Egzamin obejmuje:

1. Gotowanie próbne.
2. Lekcję próbną gotowania.
3. Lekcję próbną jednego z przedmiotów pomocniczych: rachunkowości, teorii gospodarstwa, chemii życia codziennego.
4. Pisemne prace kłauzurowe:
 - a) temat z zakresu księgowości,
 - b) temat z dziedziny pedagogiki, ekonomii, lub organizacji pracy.
5. Egzamin ustny, obejmujący:
 - a) Pedagogikę,
 - b) higienę,
 - c) teorię gospodarstwa,
 - d) chemię życia codziennego,
 - e) rachunkowość.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3.50
suknia zwyczajna	„ 2.50
bluzka	„ 2.00
formy dzieciinne	„ 2.00
bielizna	„ 1.50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu”, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KAŻDA DOBRA GOSPODYNI POWINNA POMYŚLEĆ O ZAPASACH ZIMOWYCH I KUPIĆ KSIĄŻECZKĘ P. T.

„Konfitury, kompoty i konserwy owocowe”

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KTO LUBI MIEĆ W DOMU PIĘKNE KWIATY, POWINIEN NABYC KSIĄŻECZKĘ P. T.

„ROŚLINY POKOJOWE”

KTÓRA UCZY PIELEGNOWANIA, PRZESADZANIA I ROZMNAŻANIA KWIATÓW.

CENA 1 zł 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO”, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu” kosztów przesyłki nie liczymy.

ZA ZALICZENIEM NIE WYSYŁAMY.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymarska 8, tel. 244-18.